MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 53. WARSZAWA, 15 LISTOPADA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

KRĘTE DROGI

TRZEBA stwierdzić, że nad dotychczasową naszą polityką gospodarczą panuje niepodzielnie suggestja „wielkiego" przemysłu. Hołdują jej oczywiście t. zw. „sfery gospodarcze", cieszy się ona uznaniem socjalistów, widzących w niej urzeczywistnienie przewidywań proroka Marxa i stopień przejściowy do ogólnego uspołecznienia środków produkcji, idzie za nią większość inteligencji starszego pokolenia, na której doktryny socjalistyczne zostawiły wyraźne piętno, chociażby jej część później od socjalizmu odeszła. Skutkiem tej suggestji jest zupełne ignorowanie i lekceważenie przez naszą politykę oficjalną drobnej wytwórczości, małego warsztatu czy przedsiębiorstwa. Czytaliśmy niedawno w wywiadzie z pewnym dygnitarzem państwowym drwiące uwagi na temat przedsiębiorców autobusowych: „taki to też przedsiębiorca: kupił na kredyt jeden autobus i sam na nim szoferuje". Dygnitarzowi owemu nie przychodzi na myśl wcale, że właśnie taki drobny człowiek, kupujący ze swych oszczędności narzędzie samodzielnego zarobku i dźwigający się ze stanu najmity, jest elementem społecznie nadzwyczaj cennym i zasługującym na wszelakie popieranie. Widzi on tylko kłopot z tymi wieloma „przedsiębiorcami" w cudzysłowie. Co innego, gdyby to było towarzystwo akcyjne, zadłużone, jak zwykle u nas, w którymś z banków państwowych i niewypłacalne — a to rozumiem, to jest przedsiębiorstwo!

Tymczasem zarówno zasadnicze, jak i praktyczne względy przemawiają za tem, że nasz zbiorowy wysiłek organizacyjny powinien iść w innym kierunku, porzucając uganianie się za chimerami, w dodatku dość złowrogiemi. Przy naszym braku kapitału jedyną konsekwencją tych dążeń może być zaprzedanie się w służbę obcych, tem cięższą, że w ostatnich dziesiątkach lat w rozwoju systemu industrjalnego nastąpiły wielkie zmiany. System ten nabrał cech wysoce drapieżnych, nie liczących się z żadnemi względami, prócz zysku na giełdzie. Wydawać się może, że zmiany te są tylko ilościowe, że te wszystkie *trust*'y i *holding*'i są tylko olbrzymiem powiększeniem dawnych przedsiębiorstw, tak jednak nie jest, nastąpiła tu zmiana jakościowa.

Posłuchajmy, co pisze o dwóch rodzajach kapitalizmu znany historyk francuski Piotr Gaxotte. Podkreśla on najpierw moralną podstawę początków kapitalizmu, mającego źródło swe w oszczędności, a więc w wyrzeczeniu się, w reakcji przeciw egoizmowi użycia; następnie mówi o kapitalizmie z przed ostatniego kresu rozwojowego:

„Kapitał tak pojęty jest przywiązany do gleby, do rodzin, do narodu. Posiada on imię, pochodzenie, oblicze, swój stan cywilny. Pracą i uczciwością wytwarza on swą arystokrację, Francja posiada przedsiębiorstwa, mające już dwa lub trzy wieki historji, dla których tradycja stanowi źródło nieustannej młodości. Przedsiębiorstwa kapitalistyczne? Bezwątpienia, ale ani egoistyczne, ani drapieżne. Szefowie przedsiębiorstw nie opuszczają swych stron rodzinnych, mają tam ziemie, domy, czy pałace. Nie wyrywają zapuszczonych w glebę rodzimą korzeni. Nie wynaradawiają się. Niech nikt nie mówi, że ten rodzaj kapitalizmu jest fantazją. Istniał on i jeszcze istnieje. A we Francji częściej niż gdzieindziej i dlatego niewątpliwie konflikty społeczne u nas są nie tak ostre, jak w innych krajach.

„Niestety, kapitalizm w wielu innych krajach stracił ten charakter, nadający mu walory moralne. Zapomniał o swem źródle — wyrzekaniu się. Zaprzeczył swemu celowi, którym był pożytek ogółu. Podporządkował wszystko pogoni za zyskiem, za pieniądzem. Lecz pieniądz nie wystarcza do stworzenia cywilizacji, lub choćby tylko społeczności. Ta monstrualna forma kapitalizmu rozwinęła się w krajach nowych i stamtąd infekcja przedostała się do innych. Forma ta jest międzynarodowa, bez

ojczyzny i ogniska rodzinnego, odcięta od ziemi i przeszłości. Podstawą jej jest nie tyle przemysł, ile kombinacje banków. Szereguje ona w jednem przedsiębiorstwie tramwaje hiszpańskie, lasy w Kanadzie, cynę na Jawie i elektryczność w Holandji. Do tego wszystkiego dorzuca się mimochodem fabryki obuwia, linoleum, samochodów. Wszystkiemu daje się nazwę „*trust*'u“ lub „*holding*'u“ i na tym pstrym stanie czynnym buduje się zamek z papieru. Pewnego dnia przegrupowuje się jedne tramwaje z innemi, cynę z inną cyną, emituje się nowe papiery, wymienia się lasy na jedwab, żongluje się miljardami. Wszystko staje się tylko grą cyfr i giełd. Wszystko jedno jakich giełd. Wszystko jedno, czy pieniądz jest francuski, angielski czy niemiecki. Tu się wypuszcza serję akcyj, tam „transzę“ obligacyj. Na czele tych afer, w radach zarządzających widać ludzi, którzy nie są ani Francuzami, ani Anglikami, ani Holendrami, czy Amerykanami, którzy nie są związani z żadnym krajem, i nie uczestniczą w chwale czy niedoli żadnej ojczyzny. Największe przedsiębiorstwo elektryczne w Europie kierowane jest przez Niemca, naturalizowanego w Ameryce i zamieszkałego w Belgji. Trzeba to powiedzieć: ten kapitalizm jest nienawistny, gdyż nie ma innej ojczyzny, jak pieniądz. Zamiast przynosić z sobą dobrobyt i bezpieczeństwo, daje tylko zamęt i anarchję. Jak ładunek źle ułożony, wywraca on okręt. W nim leży początek inflancji kredytów i niezdrowej spekulacji. Między nim a pracą brak jest tej ścisłej więzi koniecznej wspólnoty, istniejącej między pracodawcą a pracownikiem. Z jakiejkolwiek strony spojrzeć nań, jest on nieludzki, potworny i przesadny. Dlatego też zginie i to będzie dobrze“.

Spostrzeżenia człowieka, patrzącego na zjawiska pod wieloma względami dalej posunięte w swem rozwoju, niż to ma miejsce u nas, powinny być dla nas przestrogą, tembardziej, że jak wspomniałem, z powodu naszego ubóstwa nie możemy odgrywać w tym systemie roli samodzielnej, a jesteśmy raczej wykonawcami cudzych zamierzeń.

Dużo się dziś dyskutuje na temat kapitalizmu i jego upadku, wyrażającego się w obecnym kryzysie. Socjaliści uważają to zachwianie się gospodarki kapitalistycznej za argument na rzecz kolektywizmu. Jest to nieporozumienie, gdyż właśnie najnowsza forma kapitalizmu, ta, która obecnie upada, jest właśnie bardziej zbliżona praktycznie do kolektywizmu, przekreśla ona bowiem w znacznej mierze własność prywatną. Przedsiębiorstwa w systemie nowoczesnym stały się właściwie niczyje. Kto jest właścicielem fabryki obuwia, której akcje zdeponowane są w truście, opanowanym przez „*holding*“, zorganizowany przez Oustrica? Nie trzeba zresztą iść aż tak daleko w rozwoju organizacji spekulacyjnej. Przypominam sobie zwiedzanie u nas, w Polsce, pewnej fabryki akcyjnej, powstałej przy udziale kapitału krajowego i w części obcego. Fabryka była z różnych powodów, o których nie ma co tu wspominać, „spartaczona“. Zwiedzający przechodzą obok pewnej budowli, zaczętej i porzuconej, a na zapytanie, co to jest, otrzymują odpowiedź żartobliwą: „to jest grób nieznanego akcjonarjusza“. Istotnie akcjonarjusz jest zwykle Nieznany. Któż więc jest właścicielem? Czasem odpowiada się: bank“. A czy bank jest zainteresowany w tem, żeby fabryka prosperowała? Nie bardzo; ciągnie on zyski z „finansowania“ przedsiębiorstwa, spekulacji na akcjach, a gdy przyjdzie krach, to traci ów „nieznany“ akcjonarjusz. Ta „niczyjość“, ten kolektywizm jest jedną z poważnych przyczyn tego, że dziś w przemyśle „się nie zarabia“ że widzimy tylko ciągłe zmiany organizacyjne, ciągłe „fuzje“ jednych przedsiębiorstw z drugiemi, z czego jednak zwykle nic nie wynika innego, jak znów nowa „fuzja“, a nieznany akcjonarjusz dokłada i czeka. Mówi się, że nadmierne żądania robotników i świadczenia społeczne utrudniają bardzo egzystencję przedsiębiorstw. Niewątpliwie siła organizacyj robotniczych sprowadziła do zera t. zw. „żelazne“ prawo podaży i popytu na rynku pracy, bo organizacje te są dość silne, jak widzimy chociażby na przykładzie Anglji, żeby wymusić utrzymywanie bezrobotnych przez całe lata (oczywiście dopóki starczy zapasów nagromadzonych bogactw społeczeństwa) i to oczywiście położenia przedsiębiorstw nie ułatwia, ale trzeba też zwrócić uwagę na niebywałą wprost rozrzutność, jaka zapanowała w administracji przedsiębiorstw, wskutek tej właśnie „niczyjości“. Nie trzeba być bardzo starym, żeby stwierdzić uderzające pod tym względem różnice: pensje tuzów, które można skwalifikować tylko jako rozbójnicze, niesłychana obfitość dyrektorów, z których każdy jest zaopatrzony na koszt firmy w „prywatną sekretarkę“, ogromne koszty reprezentacyjne itd. itd. są to rzecz doniedawna jeszcze niewidziane, a ciążące fatalnie na bilansach. Wzrost wydatków t. zw. „generalnych“ jest powszechny i coraz częściej słyszy się narzekania na uciążliwą konkurencję przedsiębiorstw drobnych, „nie mających drogiej administracji“. Skargi te znalazły nawet naiwny wyraz w niedawno zgłoszonym w naszym sejmie wniosku podatkowym. Te skargi są właściwie wyrokiem zagłady na rozrzutne wielkie przedsiębiorstwa, a przecież przedsiębiorstwa „niczyje“ oszczędne być nie mogą. Zdrowa myśl gospodarcza musi się zwrócić w kierunku popierania przedsięwzięć drobnych i średnich, jako bardziej ekonomicznych, a przy dzisiejszym stanie techniki mających również możność osiągnięcia potrzebnego stopnia wydajności. U nas ta droga, nie wymagająca tak wielkich kapitałów inwestycyjnych, jest właściwie jedyną.

My jednak obracamy się wciąż w kole idej i metod „wielkiego“ przemysłu, rynków wszechświatowych i drepcemy wskutek tego ciągle w miejscu, a z jakiemi rezultatami, widać z liczby bezrobotnych, oraz z korzyści, jakie odnosi ogół z tych metod. Zobrazujemy te korzyści na przykładzie przemysłu cukrowniczego i węglowego.

Naszą gospodarkę w stosunku do przemysłu cukrowniczego uzasadnia się zawsze wielkiemi korzyściami, jakie z niego ciągnie rolnictwo. O cyfry zwykle u nas nikt się nie pyta, zróbmy wyjątek i przypatrzmy się cyfrom choćby zgrubsza.

W roku 1930/31 wywieźliśmy zagranicę 354 tys. tonn cukru i osiągnęliśmy zań 94,5 miljona złotych, t. zn. sprzedaliśmy nasz cukier po niespełna 27 groszy za kilogram. Cena wewnętrzna w hurcie była 1 zł. 15 gr. za kilo, różnica więc 88 gr. na kilo, co przy spożyciu wewnętrznem 357 tys. tonn czyni 320 miljonów złotych nadpłaty, jaką uiściliśmy własnym naszym cukrowniom w porównaniu z ich klijentami zagranicznymi. Szczęśliwe narody, nie mające własnego przemysłu cukrowniczego! Płacą za nasz cukier sześć razy mniej (jeżeli uwzględnić akcyzę 38 gr. od kilo), niż my sami! To też niedawno czytaliśmy w gazetach, że nasza dzielna straż graniczna musiała gdzieś na pograniczu ło-

tewskiem stoczyć zaciętą walkę z przemytnikami, usiłującymi przemycić polski cukier, wywieziony poprzednio na Łotwę, napowrót do Polski. Paradoks ten uzasadnia się u nas, jak powiedziałem, korzyściami, osiąganemi przez rolnictwo. Jak wysokie są te korzyści? Dochód *brutto* za cukier sprzedany w kraju i zagranicą wynosi 510 miljonów złotych; cena buraków cukrowych nie dojdzie pewno w całym kraju przeciętnie do 3 zł., co przy 45 milj. przerobionych cetn. wyniosłoby 130 milj. zł. Tyle więc *brutto* dostaje rolnictwo za swoje trudy; ile z tego ma *netto*? Trzeba by dodać jeszcze jako dochód społeczny zarobki w cukrowniach, koszt transportu, reszta idzie w znacznej części zagranicę, ponieważ duża część cukrowni jest w obcych rękach, a kampanje finansowane są z kredytów zagranicznych. Czy te korzyści usprawiedliwiają ściąganie z konsumenta 320 milj. zł. rocznie? Wątpliwości chyba niema żadnej.

Opierając się na tych cyfrach, można zaproponować następującą „piatiletkę". Plantowanie buraków cukrowych i wyrób cukru są surowo zakazane. Całe zapotrzebowanie wewnętrzne sprowadza się z zagranicy po cenie tamtejszego rynku tzn. po 27 gr. kilo (jasne jest, że jeżeli po tej cenie sprzedajemy, to również po tej cenie można kupić). Akcyzę i komisowe zostawia się w dotychczasowej wysokości. Cenę detaliczną zniża się o 30 gr., na czem konsumenci zyskają okrągłe 100 milj. zł. Pozostanie jeszcze 220 milj. zł., które rozdziela się w sposób następujący: plantatorom daje się odszkodowanie za zakaz plantowania w kwocie 100 zł. od hektara, co czyni na 250 tys. hekrarów — 25 miljonów (przyjmą oczywiście z t. zw. „pocałowaniem ręki"); robotnikom rolnym i cukrownianym odszkodowanie za straconą pracę — 30 milj. (liczono w tem 15 milj. dniówek robotników,; na amortyzację urządzeń b. cukrowni — 15 milj. rocznie. Pozostaje 150 miljonów, które przeznaczone będą na tanie kredyty dla rolnictwa i rzemiosł: po pięciu latach wprowadzi to w obieg około miljarda, bo konsumcja cukru wskutek potanienia się zwiększy, oprócz tego część zaoszczędzonych przez konsumentów rocznie 100 miljonów znajdzie się w obiegu. Po tej „piatiletce" stopa procentowa obniży się znacznie, może do 7-miu i będzie można obniżyć cenę detaliczną cukru o dalsze 30 gr., wstrzymać lub zmniejszyć niektóre z odszkodowań i wogóle dokonywać wspaniałych rzeczy, może nawet uda się osiągnąć to, żeby Polak jadł cukier w tej samej cenie, jaką dziś płacą za polski cukier dla duńskich i angielskich świnek!

Wątpie, czy kto będzie w stanie obalić podstawy finansowe tej „piatiletki", bardzo hojnej i nie bolszewickiej , opartej na skasowaniu tak kosztownego dla konsumenta polskiego przemysłu cukrownianego. Ale nie przesądzając tego, powtórzę na razie słowa marszałka Trąmpczyńskiego, wypowiedziane w sejmie po gruntownem przestudjowaniu naszej polityki cukrownianej: „Podobnie głupiego interesu w historji ekonomji jeszcze nie było".

Podatek obciążający konsumenta polskiego jest bardzo uciążliwy. Statystyka wykazuje spożycie 11,9 kg. na głowę, więc owe 88 gr. nadpłaty dałoby nieco ponad 10 zł. rocznie, ale trzeba wziąć pod uwagę, że u nas konsumuje cukier może zaledwie trzecią część ludności, a więc wypadnie już 30 zł. na konsumenta, a w budżecie rodziny najmniej 120 zł. Jest to bardzo wiele i jasną rzeczą jest, że trwanie w dotychczasowym kierunku polityki cukrownianej, opartej na miłych nowoczesnemu industrjalizmowi zasadach, jest fatalne i trzeba szukać rady we własnej myśli gospodarczej, nie wzorowanej na bankrutującym systemie.

W 1929 roku wywieźliśmy prawie 14 miljonów tonn węgla zagranicę i uzyskaliśmy z tego 384 miljony zł., czyli po 27,4 zł. za tonnę. Konsumcja wewnętrzna przeniosła 30 milj. ton i chociaż przeciętną cenę wewnętrzną trudno określić wobec wielkiej rozmaitości i różnego uprzywilejowania spożywców, to jednak można przyjąć, że nie była ona niższa od 40 zł., co na 30 milj. tonn uczyniłoby ponad 360 milj. zł. I tu więc możnaby ułożyć plan jakiejś korzystnej dla ogółu „piatiletki".

Przy dzisiejszych więc metodach polityki ekonomicznej za dwa artykuły pierwszej potrzeby, których mamy u siebie wbród, płacimy około 700 miljonów zł. rocznie więcej, niż gdybyśmy je sprowadzali z zagranicy. W dodatku budujemy za drogie, pożyczone zagranicą pieniądze specjalną magistralę węglową, żeby ten korzystny interes jeszcze powiększyć. Czy to jest najmądrzejsze, co potrafimy?

ZYGMUNT RACZKOWSKI

ŻYDZI I UPADEK PAŃSTWA BUŁGARSKIEGO

PAŃSTWO bułgarskie, które jeszcze w XIII w. odgrywało pierwszorzędną rolę w życiu politycznem półwyspu bałkańskiego, powoli traciło znaczenie. Ustąpiwszy pierwszeństwa Serbji, zachowała Bułgarja zaledwie swoją polityczną niezależność. Oba państwa słowiańskie znajdowały się w pokojowych stosunkach i nie przeszkadzały sobie w dążeniu do swoich celów. Potężna Serbja nie wtrącała się nigdy do wewnętrznych spraw słowiańskiej sąsiadki, której przedostatni władca, przy pomocy całego szeregu szczęśliwych posunięć politycznych. powiększył terytorjum swojego państwa.

Około połowy XIV w. na tronie bułgarskim zasiadł car Aleksander, pochodzący ze znakomitej rodziny serbskiej Grebostrekowiczów. Został on w r. 1331 obwołany carem bułgarskim przy pomocy Stefana Duszana, który był ożeniony z siostrą jego Heleną. Szczęśliwy w walce z Grekami, działał on wszędzie z wielką energją, mając jedynie dobro swojego państwa na względzie, a rezultatem tego było przyłączenie do Bułgarji całego szeregu pogranicznych ziem cesarstwa bizantyjskiego. Pojąwszy za żonę córkę księcia rumuńskiego Iwanko Basaraba, zabezpieczył Aleksander północne granice państwa, stając się niebezpiecznym przeciwnikiem dla cesarstwa, którego władca, Andronik Paleolog, dla ułagodzenia słowiańskiego sąsiada, wydał w roku 1338 córkę swoją, Marję za syna jego, Michała.

Wkrótce obu spokrewnionym dynastjom zaczął zagrażać nowy wróg. Byli to Turcy Osmańscy. Pojawili się oni po raz pierwszy w Europie w 40-tych latach XIV w., jako sojusznicy zwalczających się nawzajem pretendentów do tronu bizantyjskiego. Tureccy książęta z Małej Azji, wciągani coraz

częściej do wojen domowych cesarstwa, umiejętnie wyzyskiwali to, najeżdżając nieustannie wybrzeża europejskie morza Marmara, Dardanel i Bosforu, niszcząc i paląc wszystko. Zamieniwszy w pustynie południową część Tracji i nie znajdując tam więcej dla siebie zdobyczy, Turcy zapuszczali się dalej, docierając do ziem bułgarskich i wyludniając coraz więcej urodzajną dolinę Maricy.

I w tym to czasie, tak groźnym dla carstwa bułgarskiego, nie zdobył się Aleksander na poważniejszy wysiłek. Wprawdzie skarżył się on do ówczesnego regenta Bizancjum Jana Kantakuzena, jako sojusznika tureckiego, lecz to nie tłumaczy wszystkiego. Sam car Aleksander nie był zdolny do energiczniejszego działania. Cała jego uwaga była zwrócona w kierunku innym. W tym to czasie zainteresował się podstarzały władca piękną żydówką Teodorą. Dla uzyskania względów jej nie zawahał się Aleksander usunąć swojej pierwszej żony do klasztoru, narażając tem samem państwo na niebezpieczeństwo najazdu przez wojska śmiertelnie obrażonego Basaraba.

Dokładniejszych wiadomości o pięknej Teodorze źródła bułgarskie nie podają. Przypuszczać jednak należy, iż została ona poprostu nasłana przez swoich współwyznawców kochliwemu carowi bułgarskiemu. Nasuwa to przypuszczenie nagłe wzmocnienie się żydowstwa tamtejszego, o którem historycy ich dyskretnie milczą. Druga połowa panowania cara Aleksandra była okresem kolosalnego rozrostu gmin żydowskich w Bułgarji. W ciągu kilkunastu lat liczba ich podwoiła się. Licząc na opiekę swojej rodaczki, którą z czasem car Aleksander poślubił, zaczęli żydzi lekceważąco odnosić się do tubylców i otwarcie szydzić z panującej religji. W „Życiu Teodora Trnowskiego“, napisanym przez patrjarchę carogrodzkiego Kaliksta, czytamy, iż żydzi dopuszczali się świętokradztwa, niszcząc ołtarze i wizerunki, poświęcone kultowi chrześcijańskiemu; napadali i kaleczyli kapłanów, wyśmiewając się z pobożności wiernych. Posuwać oni mieli swoje zuchwalstwo do tego stopnia, iż przeszkadzali w odprawianiu nabożeństw w świątyniach. Car Aleksander, oczarowany wdziękami nadobnej żydówki, nie chciał widzieć tego i odnosił się w dalszym ciągu z wielką życzliwością do jej współbraci. Świetnie powodziło się w tym czasie bułgarskim żydom. Przy pomocą handlu i lichwy dochodzili oni szybko do bogactw. I to ich całkowicie rozzuchwaliło. „Korzystając z tego, że na tronie carów zasiadła ich rodaczka“, pisał Rakowski w swojem dziele p. t. „Aseń“, „zaczęli żydzi dążyć też do uzyskania decydującego wpływu na rządy państwa“. Wywołało to bardzo silną reakcję ze strony społeczeństwa bułgarskiego. Na Soborze, zwołanym w r. 1335 do Trnowa, zażądali bojarowie stanowczo od Aleksandra ograniczenia praw rozzuchwalonego żydowstwa.

Tymczasem niebezpieczeństwo tureckie zbliżało się. W r. 1353 syn emira Orchana, Sulejman przeprawił się nocą na czele niewielkiego oddziału tureckiego przez cieśninę dardanelską i zajął miasteczko Czimpę. W dwa lata później, korzystając, iż trzęsienie ziemi zniszczyło część murów obronnych Gallipoli, wkroczył do tego miasta, nie napotkawszy żadnego oporu. W krótkim czasie osmańskie panowanie rozszerzyło się do dolnego biegu Maricy. W opustoszałych wsiach osiadali azjatyccy koloniści, a w miasteczkach — turecka starszyzna. Turcy, wstępując na ziemię europejską, stali pod względem karności i znajomości sztuki wojennej daleko wyżej od nowych sąsiadów swoich, słowian. Osłabiona wewnętrznemi swarami Bułgarja, nie mogła stawić silniejszego oporu nadciągającej grozie.

Wielkiem nieszczęściem dla tego państwa były stosunki rodzinne panującego domu. Najstarszy syn Aleksandra, Michał Aseń, którego ojciec mianował już w r. 1337 współrządcą, wprędce zmarł. O drugim synie Janie Asenie IV wiemy tylko, iż brał on udział w r. 1355 w soborze Trnowskim, lecz i on umarł za życia swego ojca. Pozostawali przy życiu tylko dwaj przyrodni bracia, Jan Stracimir i Jan Szyszman, odnoszący się do siebie z wielką nienawiścią. Powodem niezgody młodych książąt było stałe wyróżnianie przez Aleksandra młodszego znacznie Szyszmana, syna żydówki, co musiało jątrzyć pokrzywdzonego Stracimira. Car bułgarski, ulegając namowom ukochanej Teodory, naznaczył następcą tronu Szyszmana i osadził go w Trnowie. Było to arcyniezręczne posunięcie Aleksandra, odsuwającego starszego syna Stracimira od tronu. Wywołało ono wielkie niezadowolenie wśród szlachty bułgarskiej i osłabiło spoistość państwa, tak potrzebną przy nadciągającem niebezpieczeństwie tureckiem. Niewiele poprawiło sytuację oddanie w zarząd Stracimirowi krainy Bdyńskiej. Uczucie doznanej krzywdy pozostało u starszego syna Aleksandra nadal, a stosunek wzajemny obu braci pozostawiał zawsze wiele do życzenia.

Na wiosnę r. 1365 umarł car Bułgarji Aleksander, pozostawiając rozstrojone, rozpadające się państwo. W Trnowie rządził Jan Szyszman III, władca centralnej części państwa; na zachodzie panował w Bdynie Stracimir.

Jan Szyszman ostatni, car trnowski, zaczął panowanie swoje bezmyślnym postępkiem. Kiedy cesarz bizantyjski Jan Paleolog przybył do niego z prośbą o pomoc przeciwko Osmanowi, Szyszman wtrącił go do więzienia. Bizancjum zwróciło się o pomoc do Amadeusza IV hrabiego Sabaudji, który na czele znacznych sił przybył w sierpniu r. 1366 do Carogrodu, a stamtąd wtargnął do Bułgarji. Wkrótce został zdobyty szereg miast, jak to Sozopol, Skafida, Anchialos, Limeno i Kolokastron i spustoszono całe niemal wybrzeże morza Czarnego.

Tak niefortunnie rozpoczynający swoje panowanie nowy władca Trnowa sam oddał się dobrowolnie pod opiekę Azjatów, wzywając ich często na pomoc. Pozostawszy przy jednym tylko Trnowie i zagrożony ze strony Stracimira, Szyszman uznał się lennikiem Murada i jako taki walczył ze swoimi poddanymi w r. 1366 w szeregach tureckich z Węgrami i bratem swoim Stracimirem. Jako zakład wierności oddał on do haremu sułtańskiego swoją siostrę Marję. Nie ocaliło to jednak Szyszmana od zguby. Murad turecki, ażeby zatrzeć wrażenie klęski, którą poniosła armja turecka w r. 1387 od połączonych wojsk serbo-bośniackich nad rzeką Toplicą, postanowił podbić całą Bułgarję. Przednie oddziały tureckie, pod wodzą wielkiego wezyra Ali-paszy skierowały się na północ, uderzając na posiadłości Szyszmana. Sforsowawszy w pobliżu Ajdosy Bałkany, Turcy przejściowo zajęli po krótkim sprzeciwie Trnowo. Szyszman zamknął się w Nikopolu. Po tym pochodzie, a może i przedtem upokorzył się przed władcą osmańskim także Stracimir, którego państwo znajdowało się w stanie zupełnego upadku.

Po zmuszeniu do uległości Bułgarji, wyruszyła wielka armja turecka, z sułtanem na czele, z Filippola przez Ichtimen, Kestendil i Kratowo do ziem serbskich. 15 czerwca 1389 r. na Kosowem Polu rozegrała się nieszczęsna dla słowiańszczyzny bałkańskiej bitwa, w której wzięli udział Serbowie pod wodzą krala Lazara, Bośniacy na czele z wojewodą Graniczem, Chorwaci, Albańczycy, Węgrzy i liczny zastęp rycerzy polskich (Racki. Rad. III). Kosowe Pole zadecydowało o losach południowosłowiańskich ludów. Otwozryło ono drogę Turkom do Bośni i nad Dunaj.

Na wiosnę r. 1393 syn Murada, poległego z ręki patrjoty serbskiego Obilića, Bazajet rozkazał synowi swemu Czelebi dokończyć podboju Bułgarji. Po parumiesięcznej uporczywej walce Trnowo było po raz wtóry wzięte szturmem i spalone, a ostatni władca jego, Szyszman schwytany i uwięziony w Filippolu, gdzie według tureckich źródeł zakończył życie. Po upadku carstwa trnowskiego przyszła kolej na Bdyn. Zostało państwo bdyńskie zajęte przez Turków w r. 1398. O losach Stracimira mówią kroniki serbskie, iż został on przez Bazajeta wywieziony.

Po upadku Bdynu znalazła się cała Bułgarja pod władzą sułtana tureckiego. Liczne miasta zostały zrujnowane i spalone, mieszkańcy równin schronili się w górach.

Pozostała nam jeszcze do omówienia rola, jaką odegrał żywioł żydowski podczas długoletnich walk bułgarsko-tureckich. Niezadowoleni z uchwał soboru trnowskiego, który poważnie ograniczył ich nadmierne przywileje, żydzi po śmierci Aleksandra stanowczo przerzucili się na stronę najeźdźców azjatyckich. Za pośrednictwem swoich współwyznawców z Adrjanopola nawiązali oni ścisły kontakt z Turkami. Cały szereg zdrad popełniły ludne gminy żydowskie podczas najazdu Osmanów. Dostarczyli oni najeźdźcom świetnych wywiadowców, ułatwiając tem samem podbój nieszczęsnego kraju. Nie wystarczył jednak żydom upadek Bułgarji. W ciągu wielu wieków dawali oni chrześcijanom odczuć swoje uprzywilejowane stanowisko. Obok wysłańców Fanaru zapisali się żydzi bułgarscy smutnie w pamięci ludności tubylczej w okresie niewoli tureckiej.

O.

O ELEMENTACH POWIEŚCI

NAJNOWSZE, wyszłe przed kilku tygodniami studjum o Conradzie jednego z bardziej znanych krytyków angielskich młodszej generacji R. L. Mégroza, które niebawem omówimy osobno (ukazało się nakładem firmy londyńskiej *Faber and Faber*, p. t. *„Joseph Conrad's Mind aud Method"* — „Umysłowość i chwyt artystyczny Conrada") — nawiasowo uprzytomnia czytelnikom wpływ wydanej przed czterema laty książki E. M. Forstera na dzisiejszą dyskusję w Anglji z zakresu zagadnień beletrystyki. Z tego względu dziełku, co tak ujawiło swoją żywotność, warto może w szkicowem sprawozdaniu dać pierwszeństwo przed niejedną bardziej bliską aktualnością, tembardziej że tezy Forstera zaciekawić mogą nietylko czytelników, szczególnie interesujących się literaturą angielską.

Rzecz nosi tytuł: „O elementach powieści" („*Aspects of the Novel*"), a złożyła się na nią serja odczytów, wygłoszonych przez autora w Cambridge. Forster, historyk, a zarazem wybitny beletrysta (autor „*A Passage to India*") — rozpatruje rzecz nieortodoksyjnie, ale ze szczególną kompetencją artysty, co sprawy swojej sztuki przemyślał własną głową. Książkę swą zbudował na zasadzie przeglądu siedmiu najistotniejszch (zdaniem jego) elementów powieści, a do tych zaliczył: 1) wątek, 2) postaci, 3) intrygę, 4) element fantazji, 4) duch wieszczy (*prophecy*), 6) kształt, 7) rytm. Zwłaszcza omawiając trzy pierwsze, dał wykład ujmujący praktycznością logiki i świeżością spojrzenia. Inna rzecz, że trudno może pisać się na wszystkie tezy autora. Czy „wątek", akcja, istotnie zaspokaja tylko w człowieku elementarną, „jaskiniową" ciekawość? Akcja — wywodzi Forster — pobudza do ciągłego pytania: „co dalej?" — drażni ciekawość, nie odwołując się jeszcze zupełnie do inteligencji. „Król umarł, a potem królowa umarła"—oto najprostszy wzór powieściowego wątku. Gdy pracują także pamięć oraz inteligencja, i stawiają pytanie „dlaczego?" — wówczas miejsce akcji zajmuje wyższy stopień: intryga (*plot*). Wzór: „król umarł, a potem królowa umarła, jak się okazało—z żalu". Tu istotny jest element „tajemnicy". Skąd ta tendencja do zwikłania akcji w splot tajemniczy? Czy równie dobrze nie możnaby wszystkiego opowiedzieć po kolei? Nie, bo splot intrygi, udatnie zadzierzgnięty, gdy go rozwikłać, sprawia wrażenie nowe: pięknej całości (*something aesthetically compact*). Że tak jest, to trochę zagadkowe—ale pięknu do twarzy z tem zdziwieniem „Piękno nigdy nie powinno być celem powieściopisarza, a jednak musi uwieńczyć ostateczny wynik jego pracy: inaczej dzieło chybione... Dopełniona intryga, to jeden z warunków tego efektu. Dziwno trochę pięknu, że tak jest, ale piękno zawsze wyglądać powinno trochę zdziwione... Wiedział o tem Botticelli, gdy namalował piękność wyłonioną z fal, pośród zefirów i kwiatów. Piękno, co nie zna zdziwienia, a miejsce swe traktuje, jak sobie należne, zbyt przypomina prymadonnę". — Otóż czy akcja nie jest zdolna obudzić w czytelniku uczuć wyższych nad pierwotną ciekawość, wywołać przeżyć moralnych i estetycznych? Wydaje nam się, że tak, że możliwości tych jest nawet ogromna skala, — tylko akcja, jako źródło wrażeń moralnych i estetycznych, nie jest zapewne należycie doceniona w krytyce. U podłoża popularnego sądu leży mniemany pewnik, że sama akcja nie może jeszcze wywołać wrażenia piękna. Ale skądże ta pewność? I czy doświadczenie nie dowodzi czegoś zupełnie innego?

Dowcipny i niepozbawiony swoistej słuszności jest pomysł klasyfikacyjny (w rozdziale o bohaterach wątków powieściowych) — pomysł odróżnienia figur „płaskich" od „krągłych". Płaskie, to te, które streszczają sobą jakąś formułkę, a więc stale „odwrócone" do widza tylko jedną stroną charakteru. Postaci takie zazwyczaj najlepiej się udają, gdy są namalowane z przesadą humorystyczną. Lubimy je, bo łatwo je zapamiętać i rozpoz-

nać — ile że nie wychodzą nigdy ze swej głównej roli. „Prawie wszystkie figury Dickensa są płaskie. Charakter prawie każdej można określić jednem zdaniem — a mimo to jest w nich coś głęboko ludzkiego. Prawdopodobnie od twórczego impetu Dickensa udziela się tym postaciom lekkie drżenie— energję swą zatem pożyczają, a jednak niby żyją własnem życiem. W gruncie rzeczy to finta. Gdybyśmy mogli z boku rzucić okiem na pana Pickwicka, toż okazałby się nie grubszy od płyty gramofonowej. Ale nigdy nie uda się nam spojrzeć nań z boku. Pan Pickwick zawsze w porę wykona obrót. Ma ruchy masywnego grubasa, wygląda postawnie i solidnie, a gdy zdarzy się, że zamkną go w szafie na pensji, okaże się jakoś w tej perypetji ciężki, jak sam Falstaff. Jest w tem jakaś genjalna zdolność Dickensa, że obrysuje on grubo swoje typowe, karykaturalne postaci, zrobi je rozpoznawalnemi odrazu, a człowieczeństwo ich zostanie niepowierzchowne, efekt—niemechaniczny. Krytycy Dickensa mają tu niby wdzięczne pole do zarzutów. Wypadałoby potępić go w czambuł; a tymczasem — to imię w poczcie wielkich. Artystyczna wartość jego „typów“ poucza, że „płaskość“ może mieć więcej waloru, niż się to zdaje tym, co bez pardonu poczytują ją wyłącznie za wadę“.

„Albo“ — ciągnie Forster — „weźmy drugi przykład — Wellsa. Z wyjątkiem może Kippsa i ciotki Zuzanny z powieści *„Tono Bungay“* wszystkie postaci Wellsa płaskie są, jak fotografje. Ale temi wycinkami porusza autor tak energicznie, iż zapominamy, że całą swą złożoność mają na wierzchu, że wystarczy podrapać który, albo zwinąć w tutkę, a i śladu po bohaterze nie zostanie. Postaci wellsowskie nie są to wprawdzie tylko ucieleśnione formułki — stworzyła je obserwacja, a nie metoda obrysowania typów. A jednak rzadko tętni w nich własna żywotność. Szturcha je umiejętnie mocna dłoń ich twórcy, i wprawiając w ruch, daje złudzenie nowego, trzeciego wymiaru. Świetni lecz niedoskonali powieściopisarze, jak Wells lub Dickens, celują w emanowaniu energji. W ich powieściach część żywa galwanizuje część bezduszną, i ubiera w pozór naturalności podrygi i słowa bohaterów w tej części drugiej. W tem zaś bardzo są różni od doskonałych powieściopisarzy, co dotykają się bezpośrednio całego materjału, i twórczy palec wsuną jakgdyby w każde zdanie i każde słowo. Tego rodzaju doskonałość osiągnęli np. Richardson, Defoe, Jane Austen“ (str. 98-100).

Wymyślić i unaocznić taką klasyfikację potrafi nie byle artysta. Ale czy można przyjąć konkluzję, że „płaskie“ charaktery w istocie swej są tworami sztuki mniejszej, niż kreacje „krągłe“? Forster zajmująco charakteryzuje tę drugą kategorję. Charaktery „krągłe“ to te, co potrafią nas zaskoczyć, nie przestając być przekonywającemi. Jeśli zaskoczyć nie umieją, są płaskie. Jeśli zrobią to nieprzekonywająco, są płaskie, a krągłość udają. Prawdziwie krągłe wnoszą do książki coś z nieobliczalności życia (s. 106). I konkluzja: „Przyznać trzeba, że „ludzie płascy” sami przez się (t. zn. nie jako szczegóły artystycznej całości) nie są tworami sztuki tak dużej, jak „ludzie krągli“, — i że pozatem najlepsi są w rolach komicznych. Figura „płaska“ w roli poważnej lub tragicznej łatwo potrafi znudzić. Ilekroć wejdzie na scenę ze swym okrzykiem: „Zemsta!“ albo — „Cierpię za całą ludzkość“ — nam słuchaczom robi się słabo“. — Tak,— możnaby jednak dodać, że „płaskość“ nie mniejszą jest tajemnicą geometrji, niż trójwymiarowość; a malarstwo napewno nie mniejszą sztuką od rzeźby.

Akcja, postaci, intryga — są to elementy implikowane przy rozważaniu czwartego — elementu fantazji. Oprócz akcji, postaci, intrygi bywa w powieściach coś jeszcze, — coś, co nie obejmuje w sobie tych elementów, ale niejako przerzyna je nawskroś, jak smuga światła. W ten sposób ustosunkowuje się do akcji etc. żywioł fantazji, i jeszcze drugi — żywioł profetyczności. Czemże są one? Forster określa je w zależności od reakcji czytelnika. „Każdy element powieści jako rodzaju literackiego innego wymaga responsu; i podług tego najłatwiej je rozpoznać. Akcja trzyma w napięciu ciekawość, charaktery przemówią do uczuciowości i zmysłu dla pewnych walorów; w intrydze smakują przedewszystkiem inteligencja i pamięć. A element fantastyczny? Ten żąda, żebyśmy dali od siebie coś więcej, niż zwykłą wiarę, żebyśmy zgodzili się przyjąć fikcję wewnątrz fikcji. Powieściopisarz proponuje nam: „Patrzcie, pokażę coś, co i wam mogło się przytrafić“, — gdy teza fantasty brzmi: „Słuchajcie, opowiem coś, co zdarzyć się nie mogło. Proszę, byście zechcieli uwierzyć: 1) w wątek ogólny, 2) w pewne szczególne fikcje w tym wątku“.

Rozróżnienie subtelne — i co gorsza, nie mające żadnej podstawy w psychologji twórczości (choć, być może, istotne, gdy chodzi o receptywność czytelnika). Wizjonerstwo, jeśli się zdarzy, nie mniej jest autentyczne, gdy ewokuje stół i krzesła, niż gdy kontempluje Piotrusia Pana w *Kensington Gardens*.

Czytelnikowi polskiemu ciekawie czyta się rozdział o „profetyczności“ w beletnystyce. Co rozumie przez to Forster? Bynajmniej nie żadne proroctwa przyszłości, lecz tylko wizję „wieszczą“. Po czem ją poznać? „Oto za temat bierze beletrysta—wszechświat. Może nic nie ma o nim wprost do powiedzenia, ale — intonuje pieśń, a dziwność tej pieśni w przybytku beletrystyki porazi nas pewnym wstrząsem... Profetyczność, jak ją tu rozumiemy, to pewien ton, co szuka dla siebie w czytelniku specjalnego oddźwięku.“

„Mówiliśmy, że każdy element powieści żąda od czytelnika innego rodzaju wrażliwości. Ton wieszczy żąda — pokory, a zarazem zawieszenia czynności zmysłu humoru.“

Przykładowo objaśnia Forster swą myśl, zestawiając urywki z Dostojewskiego („Bracia Karamazow“) i George Elliot („Adam Bede“). Dostojewskiego nazywa „wieszczem“, George Elliot — tylko kaznodzieją. — Inni „wieszcze“ w dziejach powieci, to powieściopisarz amerykański Herman Melville (autor *„Moby Dick“* i *„Billy Budd“*), Emilja Brontë (*„Wuthering Heights“*), oraz zmarły w roku zeszłym D. H. Lawrence. „Z żyjących“—pisał o tym ostatnim Forster w r. 1927 — o ile mogę sądzić, on jeden jest „proroczy“, reszta, to fantaści, albo kaznodzieje, w nim jednym element wieszczy góruje — owo nieprzytomne pieśniarstwo, którego krytyka się nie ima“.

I fantasta i wieszcz roją — obaj tworzą „mitologje“, ale różne przedmiotem. Wieszcz—o wszechświecie, fantasta — o pewnych dziwnościach (np. elfy, albo selenici). Obaj wymagają od czytelnika niejako podwójnego wzroku — czułego na zwykłą

fikcję powieściową, a w tej zwykłej na drugą — fantastyczną lub wieszczą.

Przykłady swe czerpie autor w ogromnej większości z literatury angielskiej, ale czasem także z francuskiej (Flaubert, France, André Gide) i rosyjskiej (Tołstoj i Dostojewski). Książka jego jest jednym z dowodów owego osobliwego wpływu literatury rosyjskiej na wielu przedstawicieli umysłowości angielskiej w młodszem pokoleniu. O Tołstoju i Dostojewskim mówi autor z entuzjazmem i miłością, nieco kłopotliwemi dla czytelnika polskiego o gustach odmiennych.

Rozważań autora o „rytmie" i „kształcie" jako elementach powieści nie streszczamy, głównie dlatego, że trudno je uzmysłowić bez wdawania się w rozbiór utworów, równie szczegółowy, jak ten, którego dokonywa autor dla unaocznienia swojej myśli.

WITOLD CHWALEWIK

SYMBOLIKA „WESELA"

(Dokończenie)

5

PIERWSZY poważny interpretator „Wesela", cytowany już Rudolf Starzewski, tak mówi o metodzie, z którą należy do tego dzieła przystępować:

„Chcąc w całej pełni wmyśleć się i wczuć w logikę tego dzieła, trzeba natężenia inteligencji, kombinacji, krzyżującej bezpośrednie odczuwanie; trzeba wysiłku, którego w historji dramatu nie wymaga żadne skończone dzieło artyzmu" [1]).

Jeśli więc w literaturze krytycznej o „Weselu" panuje taka „dusząca mgła nieporozumień", to pochodzi ona przedewszystkiem z braku tego „wmyślenia się i wczucia w logikę tego dzieła", z niechęci do zrozumienia intencyj poety i jego metod pisarskich, które, jak to zobaczymy, wielce odbiegały od przeciętnych zjawisk literackich, dalej zaś z braku poczucia łączności „Wesela" z całością ideologji Wyspiańskiego, w szczególności z utworami chronologicznie oraz ideowo najbliższemi, no i wreszcie z nieumiejętności poprostu czytania (na co, jak wiemy, stale się skarży Norwid).

Zaczynając tedy od owych metod pisarskich Wyspiańskiego, trzeba pamiętać, że poeta „był dumny z pojęciowej wartości swych dzieł" i „głosił wyższość poznania artystycznego nad naukowem i wyniki jego uznawał za prawdy równe naukowym" [2]). Bardzo wysoko ceniąc swe powołanie poety, Wyspiański sądzi, że w dramatach swych „czyta myślą, co było i co będzie", i w liście do A. Chmiela [3]) takie rzuca dumne (i nawskroś romantyczne) wyznanie:

„Powinienem być tem, co może sprowadzić burzę i powódź wstrzymać, zsełać ogień i ogień tłumić. Zabijać piorunem i korzyć pioruny w dłoni".

Obydwa twórcze pierwiastki, któremi się posługiwał Wyspiański: wizyjność i realizm, znalazły w „Weselu" dobitny wyraz, i tu jedynie, mojem zdaniem, nastąpiło ich harmonijne skojarzenie, przedewszystkiem w kształtach symbolów, kunsztownie a zarazem logicznie rozwiniętych. Wyspiański sądził, że „jedynie sztuka odtwarza prawdę życia", i ufał swej twórczej intuicji. Mawiał podobno:

„Jeśli dzieło wielkiego artysty jest istotnie arcydziełem, to dlatego, iż uchwycił on nie to, co zewnętrzne, ale to, co tkwiło wewnątrz, co stanowiło platońską ideę rzeczy" [4]).

Rozważania te dowodzą chyba, że, jak to mówił Starzewski, przy badaniu twórczości Wyspiańskiego „trzeba natężenia inteligencji" i dużego „wysiłku", podobnego do tego, który zużywamy przy badaniach ścisłych.

6

Dochodzenia jednak nasze, mające na celu wyświetlenie istoty „Wesela", winniśmy rozpocząć od pobieżnej chociażby analizy niektórych utworów, poprzedzających ten arcytwór Wyspiańskiego, a ideowo mu najbliższych.

Zacznijmy od „Warszawianki", o której przepiękne studjum dał Grzymała-Siedlecki „Nowy Przegląd Literatury i Sztuki", 1920), stwierdzając tam przedewszystkiem „osobisty, wrogi stosunek Wyspiańskiego do generacyj, wychowanych na romantyzmie". Trzeba więc stale mieć przytomny surowy sąd poety nad młodzieżą, która „się grobem ślubuje", nad Marją, która w tragicznej próżności chciała, by się jej narzeczony „odznaczył", wreszcie nad straszną, bezlitosną pychą Chłopickiego („Ja tu nie rządzę, Radziwiłł niech rządzi"). Nakoniec trzeba należycie ocenić apoteozę niemego wiarusa, — chłopa, będącego jakgdyby powtórzeniem milczących bohaterów Norwida. „Spełnił swoje. Teraz wolno mu skonać", tłumaczy Siedlecki.

Ale najbaczniejszą uwagę winni interpretatorzy „Wesela" zwrócić na całość twórczości Wyspiańskiego w r. 1900, wyjątkowo w tym roku obfitej i doniosłej i powiązanej najściślej z „Weselem".

Wogóle rok 1900 odegrywa w życiu i twórczości Wyspańskiego rolę wyjątkową, podobną do tej, którą ma dla Mickiewicza r. 1832, zaś dla Słowackiego druga połowa r. 1844 i pierwsza 1845. W latach tych nad każdym z naszych trzech poetów jakgdyby „bania z poezją się rozbiła", i niemal wszystkie pomysły twórcze, realizowane przez

[1]) „Wesele" W-go, Kraków 1901, str. 41. Te słowa należałoby także mieć w pamięci n. p. przy „Samuelu Zborowskim" Słowackiego oraz stale przy Norwidzie.

[2]) T. Sinko: „S. Wyspińskiego pytajniki na marginesie „Piśmiennictwa" Feldmana", „Przegląd Współczesny", nr. 49, 1926 roku.

[3]) „Miesięcznik Liter. i Artyst.", 1911, nr. 2. Porównaj pogląd Novalisa: *„Die Poesie ist das echt absolut Reale. Dies ist der Kern meiner Philosophie. Je poetischer, je Wahrer"*. Albo też w F. Schlegla *„Gespräch über die Poesie"*:. Ludowiko: *„Das höchste kan man, eben weil es unaussprächlich ist, nur allegorisch sagen"*. Lothario: *„Darum sind die innersten Mysterien aller Künste und Wissenschaft ein Eigentum der Poesie"*.

[4]) S. Estreicher, j. w.

nich potem, skupiały się w tamtych małych okresach czasu.

Jakkolwiek „śmierć była towarzyszką Wyspiańskiego oddawna, od czasu pierwszych objawów choroby w r. 1898“ [5]), to jednak, jak się zdaje, dopiero w r. 1900 zaszedł w Wyspiańskim stanowczy przełom psychologiczny. Objawia się oto zwrot do prostoty, do norm zwykłego ludzkiego obowiązku, do „porządności“, niezwykle intensywna praca nad sumieniem, widoczna wprost w stylu poezji i listów; wzrost religijności i czujnej kontroli nad samym sobą. Koroną tego ogólnego duchowego odrodzenia był ślub, który poeta zawarł 18 września 1900 r. z matką swoich dzieci, Teofilą Spytkówną. Towarzyszą temu wzrostowi spojrzenie na życie własne i życie społeczne nieco z oddali, zaprawione słabym odblaskiem humoru, a razem z tem atak na pozę romantyczną.

W tym właśnie roku wykonywa Wyspiański witraże św. Stanisława, Henryka Pobożnego i Kazimierza Wielkiego, zaklinając w nich dręczącą go grozę śmierci, i pisze rapsody, poświęcone każdej z powyższych historycznych osobistości, oraz prócz tego Piastowi i Wernyhorze; wreszcie w ostatnich miesiącach tego osobliwego roku, już równolegle do początkowych scen „Wesela“, — powstaje dramat o Mickiewiczu, — „Legjon“. Nakoniec — rzecz najważniejsza! — w lutym tegoż 1900 r. napisał Wyspiański kilka kart, opiewających zejście Kory do podziemi i pożegnanie jej z Demetrą, które to sceny po paru latach włączył do „Nocy listopadowej“ [6]).

Nie wszystkie te utwory pozostają w ścisłym związku z „Weselem“. W rapsodach o Henryku Pobożnym i św. Stanisławie występuje idea o konieczności śmierci, jako próby dobroczynnej, co Kora równocześnie wyrazi lapidarnie w słowach:

„Umierać musi, co ma żyć“!

(Nie trzeba zapominać, że Wyspiański był zwolennikiem teorji reinkarnacji, co dostrzegamy w „Achilleidzie“, „Powrocie Odysa“ i zwłaszcza w wierszu lirycznym: „Niech nikt nad grobem mi nie płacze“...)

W „Piaście“ ironizuje poeta lubowanie się chłopów w dekoracyjności oraz ich lojalność wobec Austrji. Rapsod ten kończy słowami, które wkrótce znajdą swój odpowiednik w „Weselu“:

Chcę rzezi, żeby wszystko krwią spłynęło,
żeby się podłość Polski w niej obmyła;
by się zbliżyło k nam spragnione dzieło,
na którem przyszłość narodu spoczęła;
by krwią i ogniem pożarów objęło
wszystko, co pamięć w przeszłości przeklęła;
i pokolenia szły pokoleniami
już niepamiętne hańby, co nas plami...

Słowa te poety wypowie w „Weselu“ Dziennikarz, t. zn. jego przyjaciel, „Dolcio“ Starzewski:

Nieszczęścia wołam!
Możeby Nieszczęście nareszcie
dobyło nam z piersi krzyku,
krzyku, coby był nasz,
z tego pokolenia.

Ale tu autor już się nie solidaryzuje z tem bluźnierstwem i przez usta Stańczyka nazywa Dziennikarza puszczykiem i, zgodnie z powyżej omówionym artykułem Szujskiego, nakazuje cześć i szacunek dla narodowych świętości.

W rapsodzie o Bolesławie Śmiałym są, zdaje się, ustępy noszące charakter autobiograficzny, p.n. apostrofy do syna (porównaj zwłaszcza strofę LXXVI, lub wiersz ostatni strofy LXXVIII: „O dziecię! dla cię zapomniałem siebie!“), lub takie wyznanie:

Ja pogrążony w klątwie, ja niewolny,
skazany w okrutną śmierć ducha.

Słowa te są echem „Klątwy“, która bodaj również posiada pierwiastek osobisty.

Wybitną analogję do „Wesela“ zawiera dwuwiersz:

Ból przeinaczał kształty wkrąg widziane
i czynił żywe dziwo śpiące w duszy —

drugiemu wierszowi odpowiadają niemal dosłownie słowa Poety:

...nas mara, dziwo nęci...,

zaś pierwszemu:

...a to, co nas tu otacza,
zdolność nasza przeinacza.

(Mówiąc nawiasem słowa te przypominają dwa ostatnie wiersze ze wstępu do „Fausta“:

Was ich besitze, seh ich wie im Weiten,
Und was verschwand, wird mir zu Wirklichkeiten).

Oktawa C, napisana 12.I. 1900, odpowiada słowom Pana Młodego i Dziennikarza w „Weselu“, chwalących sobie sen (patrz wyżej):

Śpiący rycerze, to ci, co bezczynni,
ci, co gnuśnieją za domem, czy doma,
ci, co jakiemiś już dziełami słynni,
już syci sławy... ci po wszystkie czasy winni,
leniwe duchy...

Sen Bolesława i rycerzy — to dokładny prototyp czaru „Wesela“. Więc czytamy tam:

...a nieruchoma orszaku postawa...
...„Sam tu! giermak haj“! — ci dalej bez ruchu...
...Czar może jaki nas spętał sromotny
...Czarci nas nieśli, czy w skrzydłach anieli...

Wiersz ostatni nasuwa nam na myśl alternatywę „Wesela“, kiedy to Gospodarz nazywa Wernyhorę „duchem narodu“, zaś Gospodyni: „widmem z piekła“.

W „Kazimierzu Wielkim“ zasługuje na uwagę sąd króla o ludzie, który sam jeden tylko, wśród nędzy powszechnej, przypomniał mu jego dni, pełne chwały; aczkolwiek, dodaje Król Kmiotków:

i tam jeszcze dymne spalenisko
Kurzące — i już śmierć duchowa blisko.

Marazm duchowy biesiadników w „Weselu“, spodziewających się cudu po Złotym Rogu, już tu znajduje swój wyraz w obłędnem wołaniu narodu:

Cudu żądamy, królu! Dopełń cudu!

To też charakterystyka narodu przez króla oczywiście odpowiada stanowisku samego Wyspiańskiego:

Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił...
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił...
i starzał... Kochał się w trunach...
Mniemając, że go to do życia wiodło
...Stawał się naród jak ugorne pole.

„Legjon“, napisany w październiku i listopadzie 1900, zasługuje przedewszystkiem na uwagę

---

[5]) T. Sinko we wstępie do V t. „Pisma S. W.“, str. LXXXVII.

[6]) Kołaczkowski słusznie przypuszcza, iż „filozofja Kory z „Nocy listopadowej“ była rdzeniem metafizyki Wyspiańskiego, jego najtajniejszą, najgłębszą myślą“ („Stan. Wyspiański“, str. 58).

przez połączenie, zgodnie z ideologją T-wa Demokratycznego na emigracji, problematów narodowego i społecznego. Zarówno w scenie II, jak i w słowach Papieża, tragedja narodowa jest skutkiem win szlachty wobec ludu:

Zali wy nie jesteście przeklęci
Złem, któreście zwinowali?

Przeciwstawienie sobie Mickiewicza i Krasińskiego w scenie III jest zapowiedzią antytezy „Wyzwolenia“: Genjusz a Konrad. Mickiewicz w scenie IX, sprzeniewierzający się spodziewaniom tłumu i kierujący, w ostatniej scenie, łódź w objęcia śmierci — to wyraz zasadniczej niewiary Wyspiańskiego w skuteczność powstań, jako też przekonania, że śmierć — to tylko próba, przez którą przejść musi wszystko, co ma żyć. To też Mickiewicz woła:

Zmartwychwstaniecie młodzi,

zaś „wśród łun pożaru widać Tanatos, jak steruje sterem korabiu“.

Tę samą myśl, będącą wyrazem swoistego optymizmu Wyspiańskiego, znajdujemy w kształcie najpełniejszym i najdoskonalszym w scenie eleuzyńskiej, napisanej w lutym tegoż roku 1900. Nadzwyczaj bliskie pokrewieństwo tej sceny z ideą „Wesela“ zauważył pierwszy, o ile wiem, Józef Rachwał, w „Sfinksie“, 1911, nie wiedząc zresztą jeszcze, że scena ta wyprzedza „Wesele“. Nie trzeba dowodzić, że ta ostatnia okoliczność czyni tezę Rachwała, potwierdzoną zresztą przez ogromną ilość najpoważniejszych badaczy „Wesela“, silną nie do obalenia.

Demeter, wyobrażająca tu zwykłych ludzi, czujących strach przed śmiercią, jako przed czemś nieodwołalnem, jako przed kresem wszystkich rzeczy, rozstaje się we łzach z Korą, która wie, tak samo jak poeta, że

bogate podziemu śpichlerze:
z każdego owocu się bierze
nasienie i skrzętnie kryje.

Tedy podziemia te są schroniskiem dobroczynnem, chwilowo potrzebnem i koniecznem:

tam przechowują się ziarna,
a jak je przyniosę na świat,
to każde kwiatem odżyje
i owoców urodzi mnogo.

Rola Kory jest też wyraźnie dobroczynna:

Rzeczy tajemne tam się dzieją,
nie mogą się beze mnie stać.

Podobnie przemawia ona dalej w scenie VIII:

Co złego w was i co marne,
to jako plewy i ziele złe zgarnę,
co chwastu na waszej roli
i co szkodzi wam i co was boli,
to ukoję — czasu przebiegiem...
Kiedyś — będziecie wolni.

7

Do jakiegoż tedy wspólnego mianownika można sprowadzić powyższe pomysły Wyspiańskiego? Jakaż może być jego filozofja? Jakie to *genus proximum*, do którego on należy?

Odpowiedź jest nader prosta. Toć to filozofja chrześcijańska głosi ową konieczność przejścia przez śmierć, aby osiągnąć prawdziwe i stałe życie; toć to filozofja chrześcijaństwa jest tem przedziwnem połączeniem pessymizmu z optymizmem: pessymizmu — na przemijające życie doczesne, zaś optymizmu — na wieczność [7]). Toć wzorem naszym i prototypem wszelkiego trjumfu jest dla nas Chrystus, który „nie z krwią kozłów lub cielców, ale z krwią własną wszedł raz na zawsze do świątyni, dokonawszy wiecznego odkupienia“ (Św. Paweł do Żydów, IX). Wszakżeż niemal wszyscy pisarze i myśliciele chrześcijańscy powtarzają myśl tę samą o odkupiającej mocy cierpienia i śmierci. Oto n.p. Leonardo pisze:

„Patrz, nadzieja człowieka i pragnienie powrotu do Ojczyzny swojej, do swego stanu pierwiastkowego — jest jak lot motyla ku światłu; i człowiek, który w ciągłem pragnieniu z niecierpliwością radosną oczekuje wciąż nowej wiosny, nowego lata, nowych miesięcy i nowych lat, wierząc, że rzeczy pożądane przychodzą powoli — nie spostrzega, że pragnie własnej śmierci. Ale to pragnienie jest istotą, duszą żywiołów, które, że są zamknięte w duszy ludzkiej, wciąż pragną powrócić z ciała ludzkiego do swego dawcy; a wiedzcie przytem, że ta sama żądza jest kwintesencją nieodłączną natury i że człowiek jest wzorem świata“.

Zupełnie podobnie Goethe, napozór tak daleki od chrześcijaństwa (ten komunał tuła się jeszcze po umysłach ludzi, nie umiejących czytać), tak pisze w jednym z najpóźniejszych swych utworów, p. t. „*Sehnsucht*“:

Sagt es niemand, nur den Weisen,
Weil die Menge gleich verhöhnet:
Das lebendige will ich preisen
Das nach Flammentod sich sehnet.

...Keine Ferne macht dich schwierig,
Kommst geflogen und gebannt,
Und zuletzt, des Lichts begierig,
Bist du, Schmetterling, verbrannt.

Und solang du das nicht hast,
Dieses: „Stirb und werde“! —
Bist du nur ein trüber Gast
In der dunkeln Erde! [8]).

Podobnie pisze Krasiński, n. p. w listach do Delfiny Potockiej:

„Każdej wielkiej piękności uznanie, uczucie, pojęcie jest śmierci rodzajem, bo jest zupełną odmianą stanu i duszy... (str. 2) Ten tylko idzie dalej, wzlata wyżej, kto wiecznie siebie samego za sobą zostawia! Zwłokami własnemi trzeba posypać drogę swoją, z każdej śmierci zmartwychwstawać. To są prawa Boże! Ujść ich nie można, można ich nie dopełniać — ale wtedy śmierć nastąpi... (str. 329) By rzecz, która dotąd jest wedle woli szatańskiej, stała się wedle woli Bożej, trzeba, żeby się od stóp do głów przeobraziła, rozpadła, zniszczała“ (str. 447).

Słowackiego ideą naczelną jest ofiara, a jej wyobrazicielami mnodzy bohaterowie jego tragedyj, wzorujący się na Księciu Niezłomnym: Ks. Marek, król Agis, Zawisza, książę Michał Twerski. Podobni są do nich bohaterowie Norwida: Wanda, Krakus, Zwolon...

Takie to są pojęcia chrześcijańskie, i ich treść powtarza w swej twórczości Wyspiański, transponując je jedynie na tło życia narodowego, w którem doczesność, nie zamykając się w ramach jednego pokolenia, przejmuje częściowo atrybuty wieczności: śmierć jednego pokolenia może być zadatkiem zwycięstwa potomków. O tem już zresztą wiedział Słowacki podczas pisania „Anhellego“ i Krasiński w „Trzech myślach Ligęzy“.

STANISŁAW CYWIŃSKI

[7]) Poraz pierwszy pisałem o tem na łamach „Kurjera Litewskiego“, 1913, nr. 295, w art. „Optymizm Wesela“.

[8]) „Jeno mędrcom mówcie o tem, bo szyderstwem tłum was zbywa: sławię w żywych tę tęsknotę, co ogniowej śmierci chciwa!... Żadna oddal cię nie trwoży, czas cię żenie, mami czar! Szukasz światła coraz skorzej; mkniesz, motylu, w jego żar! Umrzyj i bądź żywy znów! Smutnym gościem będziesz na tej ziemi, gdy tych słów treści nie posiędziesz“.

NA WIDOWNI

Ś. p. Artur Oppman. — Ot-Ot a Wyspiański i Pol. — Warszawa i Kraków. — Tradycja poetów warszawskich. — Poezja emblematów i rzeczywistość. — Dziwny sen Or-Ota na jawie.

ZESZEDŁ ze świata utalentowany poeta Artur Oppman, znany powszechnie pod pseudonimem Or-Ota. Urodzony w Warszawie 1867 r. zaczął ogłaszać swoje utwory poetyckie w r. 1883 („Dziennik dla Wszystkich" Perzyńskiego), a więc jako 16-letni chłopiec. Pierwszy zbiór poezyj wydał w r. 1889, jednocześnie z Kasprowiczem o 7 lat od niego starszym.

Nie wydalał się z Warszawy z wyjątkiem krótkiego pobytu w Krakowie, gdy uzupełniał naukę na uniwersytecie po ukończeniu warszawskiej Szkoły Handlowej. W Krakowie podrosły mu skrzydła poetyckie. Tą samą atmosferą Krakowa oddychał wtedy młodszy o dwa lata Wyspiański.

Kraków ówczesny dla duszy polskiej patrjotycznej był tem, czem w palenisku komin wysoki. To nie był Kraków regjonalny, tam była duchowa, odświętna stolica zaboru rosyjskiego. Jaki tam mocny był przeciąg międzydzielnicowy, wszechpolski, mamy dowód na Wyspiańskim, którego porwał ten prąd.

Or-Ota można nazwać warszawskim Wyspiańskim — z zachowaniem oczywiście wszelkiej proporcji tego zestawienia. Warszawa, jako ognisko tradycyj narodowych, tak się ma do Krakowa, jak Oppman do Wyspiańskiego — z tem wszakże zastrzeżeniem, że Oppman ze swego typu psychicznego odpowiada więcej Wincentemu Polowi (który w młodości pisał się Pohl). Istnieje bardzo widoczny odcień między takiemi nazwiskami, a czysto polskiemi, odcień przez krytykę niedostatecznie uwzględniony. Pol przy równej dozie patrjotyzmu nie mógł być tak tragiczny, jak np. Kornel Ujejski; Staff, przy tej samej uniwersalności, nie jest tak tragiczny, jak Kasprowicz lub Wyspiański.

Or-Otowi, jak Polowi narzucała się raczej użytkowa, potoczna wartość tradycji. Brał ją od środowiska, aby mu ją zwrócić w formie poetyckiej. Wyrazem był lirycznym pierwiastków swej epoki i przez to niezmiernie był popularny, jak Pol. Nie tyle piękno, ile ładność; nie tyle poryw uczucia, ile rzewność — były ich obu dziedziną. Jak Pol sformułował artystycznie gust epoki w stosunku do krajobrazu i wspominków narodowych, tak Or-Ot pisał w wierszach pejzaż i tradycję Warszawy.

Lubił, żeby mury i osoby, które żyły za dziadów jego w Warszawie, podobały się tak współczesnym, jak jemu, gdy je sobie w dzieciństwie idealizował z opowiadań. To stało się jego pasją literacką, a potem manjerą. Lubił być dzieckiem; dla tego pisał tak miłe książeczki dla dzieci; dla tego był zawsze młodzieńczy. Lubił być instrumentem muzycznym środowiska, wygrywającym ulubione melodje.

Grała też na nim poczciwa Warszawka. Póki żył Or-Ot, póty Warszawa miała jakąś piosenkę na ustach. Warszawa nie pracuje na poezję. Zdarzył się jej Or-Ot, jak gołąb staromiejski, z dziwnem upierzeniem, ale gołąb. Przywykli do niego, jako do postaci charakterystycznej, która nikomu nie przeszkadza, owszem jest miła. Ale kto w Warszawskiem śródmieściu literackiem łaknie wielkiej sztuki?

Poeci się plączą po wsiach i miastach ze swojemi tęsknotami. Tęsknoty warszawskie schodziły zawsze w śródmieściu na dziadostwo. Nie znajdując upojenia w sztuce, poezja spijała się wódką i wtedy nazywała się cyganerją. Tak było cały wiek 19-ty ku mniejszej lub większej świadomości tragizmu u poetów, zawsze ku anegdotycznej wesołości śródmieścia. Or-Ot miał cały szereg poprzedników w Niewiarowskim, Wolskim, Michaux, Sowińskim, Stebelskim. Każdy z nich skarbił sobie *epitaphium* w rodzaju tego, jakie sobie Sowiński sam napisał:

Poeta Bubo
Z czarką i lubą
Pracował z chlubą
Nad swoją zgubą.

Cóż było ich zgubą? To, że byli na grochu chwili bieżącej śródmieścia, nie mającego wielkich tęsknot. Warszawa systematycznie w każdem niemal pokoleniu niszczona, rozrzedzona napływem dusz obcych twórczości narodowej, nie posiada takiej kryjówki, gdzieby tęsknota nabrała skrzydeł. Cała twórczość zaledwie starczy na obsłużenie dzienników, rozmieniona na monetę obiegową pół-tęsknotek.

Palenisko warszawskie uczuć patrjotycznych było tak przytłumione, że zaledwie tliły iskry w popiele. Odrobina tradycji żywej pozostała na Starem Mieście w murach i ludziach. Te szczątki pielęgnował Or-Ot. Były to nikłe ślady pamięci czasów Kilińskiego. Późniejszych czasów Warszawa nie pamiętała, bo wtedy, jeśli się co działo, to jak pod hypnozą. Całe dzieje 19-go wieku były dla Warszawy ciężkim snem, dziejami ruchów mimowolnych, wykonywanych z tajemnej podniety.

Po dawnych czasach, gdy walczono wojskowo o resztki niepodległości, pozostało trochę emblematów. Poetą tych emblematów był Or-Ot. Warszawa lubiła, kiedy poeta niemi migotał, łaskocąc serca rzewną piosnką skrzypcową. Było w jego pieśni więcej potrąceń o emblematy, niż treści, była mowa o czemś nienazwanem, jak żal, była tęsknota za utraconą—tęsknotą.

I stało się, że u wejścia do Polski już wolnej Or-Ot spotkał się z ludźmi, którym emblematy narodowe zastępowały treść rzeczywistości polskiej, którzy, jak on w poezji, wpadali w rolę opiewanych przez niego ułanów, legjonistów, wodzów insurekcyjnych, nawet Napoleonów. Jak w bajce! Powiedziano mu, że to właśnie jego sny o wielkości i sławie się realizują. Nowi ludzie wzięli go między siebie i poddali jego skrzypcom melodję „Pierwszej brygady", aby ją splótł z mazurkiem Dąbrowskiego.

W miarę jak grał—działo się to jak we śnie—sam przeobraził się w emblemat: znalazł się na nim mundur żołnierza, kapały na piersi ordery, rósł na pułkownika, sobie samemu się dziwiąc, skąd mu to rycerstwo, gdy szabli przypiąć nie umiał, ani stawał kiedy w ordynku.

Porwała go bajka, którą miał porywać innych. Działo się, jakby grał rolę w jednej z tych fantazyj, których tyle pisał dla dzieci. Teraz w doniesieniach żałobnych czytamy o Or-Ocie:

„Poeta, podpułkownik w stanie spoczynku, członek Straży piśmiennictwa polskiego, członek honorowy Towarzystwa literatów i dziennikarzy polskich, kawaler krzyża oficerskiego odrodzenia Polski i złotego krzyża zasługi,

kawaler legji honorowej i krzyża oficerskiego gwiazdy rumuńskiej, ozdobiony złotemi palmami oświecenia publicznego oraz medalami wojny polskiej i 10-lecia niepodległości".

Or-Ot pozostanie w literaturze jako poeta Starego Miasta, którego talentem było poetyckie widzenie pamiątek narodu, wywołujące w nim rzewność i entuzjazm. Dzielił los pieśniarzy warszawskich, wychowanych w klatce, gdzie wyrodniały skrzydła, garnące przyszłość. Należał do generacyj, uważających apolityczność za normę obowiązującą pisarzy, więc nie orjentował się w życiu realnem.

Dobroduszny z natury i naiwny, jak dziecko, dawał się unosić byle fali, nie mając jej nic do przeciwstawienia. Niosła go fala niegłęboka dziennikarskich zapotrzebowań umysłowych, zdzierająca o bruk talenty, a niepozwalająca się kształcić i stanąć w postawie twórczej. Pisał najchętniej wierszem i z wielką biegłością. Powstawały tomy liryk, nieraz bardzo pięknych. Ułożone serjami, a zebrane z wielu tomików, zaczęły niedawno się ukazywać w zbiorze ogólnym. Tom I (Stare Miasto) ukazał się w r. 1926, tom III (Pieśni o sławie) 1927. Tom II dotąd nie wyszedł. Wybór poezji Or-Ota wydany był w r. 1900.

„Stare Miasto", zbiór utworów, którym Or-Ot wziętość zawdzięczał, miało kilka wydań. Znaczną wartość literacką mają kroniki mieszczańskie Or-Ota: jak ta o Malchrze Gąsce (1903 i 1922). Ostatni zbiorek liryk wyszedł w r. 1929 p. t. „Moja Warszawa". W tym też roku poeta otrzymał nagrodę literacką m. Warszawy. Należała mu się bezsprzecznie.

Należy mu się od Warszawy stała nagroda wdzięczności i dobrej pamięci pośmiertnej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

POŁOŻENIE OBOZU „SANACYJNEGO" wobec tak bardzo w świadomości szerokich rzesz zaostrzającej się kwestji żydowskiej staje się z dnia na dzień kłopotliwsze. Gdybyż jeszcze obóz, obecnie rządzący, stał był zawsze na stanowisku liberalizmu, głosił hasła Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, propagował równość wszystkich obywateli wobec prawa!... Trudno byłoby mu wprawdzie wówczas bronić uroszczeń żydowskich, polegających na domaganiu się nie równych praw, lecz przywilejów (np. żądanie, by na ćwiczenia w prosektorjach dostarczane były trupy wyłącznie chrześcijan, ponieważ żydzi pragną coprawda uczyć się medycyny i dokonywać sekcyj zwłok, ale religja zakazuje im posługiwać się w tym celu trupami ich współwyznawców), w każdym razie jednakże mógłby przynajmniej odwoływać się do haseł poszanowania wszelkich poglądów i wierzeń, mógłby twierdzić, iż w państwie, opartem na zasadach liberalnych, nie może istnieć podział na obywateli pierwszej i drugiej kategorji...

Ale od pięciu lat publicystyka sanacyjna powtarzała uparcie, zaś praktyka polityki sanacyjnej wprowadzała w życie zasadę, iż w państwie musi istnieć „elita rządząca", korzystająca z pełni praw i ponosząca pełnię odpowiedzialności za przyszłość historyczną Rzplitej, oraz reszta, pozostała masa obywateli, która jeśli nie jest zgodna w poglądach z „elitą", zasługuje na nazwę żywiołów „antypaństwowych", winna być „trzymana krótko", metodami „silnej ręki", choćby nawet metody te przejawiały się w formach szczególnie ostrych i drastycznych...

Otóż wiele mogła zrobić propaganda „sanacyjna", rozporządzająca, jak wiadomo, niemałemi środkami materjalnemi... Przekonać jednak opinję polską o tem, że żydzi winni stanowić w Polsce „elitę", Polaków zaś należy „trzymać krótko" jako „antypaństwowców", takiej sztuki nie dokona żadna publicystyka, żadne „uzasadnienie rozumowe", żadna agitacja... Usiłuje to wprawdzie głosić oficjalna „Gazeta Polska", która dn. 9 b. m. pisała dosłownie: „Stanowisko społeczności żydowskiej w czasie kryzysu było n i e t y l k o b e z z a r z u t u, ale niejednokrotnie b a r d z i e j p a ń s t w o w e, niż działalność r ó ż n y c h p o l s k i c h p o l i t y k ó w"... To jednak nie powiedzie się nigdy. To jest naprawdę za trudne.

POD KONIEC UBIEGŁEGO TYGODNIA niejeden Warszawianin spotkał prawdopodobnie luźne oddziałki akademników, co powstali przeciw zalewowi żydowskiemu na uniwersytecie. Ważnym dniem był piątek, kiedy powstańcy po licznych utarczkach owładnęli budynkami i usunęli Żydów z dziedzińca uniwersytetu. Nazewnątrz wystąpiła policja, która akcję młodzieży „z całą energją ukróciła". Znowu więc rzeczy wrócić mają do poprzedniego fantastycznego stanu? W nim miał swe najgłębsze źródło tem ostatni na wyższych uczelniach odruch powstańczy. Jak wszystkie podobne, w istocie swej był bezplanowy, był reakcją na sytuację nie do zniesienia. Przy ciągłem recytowaniu haseł mocarstwowych przez grupy w Polsce rządzące, doszło do takiego zaniku pojęć o tem, jak wygląda zdrowy europejski naród, że zatracono zupełnie poczucie absurdu. Przyjmuje się go za rzecz normalną, wywalcza się go przeciw młodzieży, niczem jakiś szanowny *status quo*. A przecież absurdalną rzeczą z punktu widzenia europejskich stosunków jest kolegowanie Polaków z tak liczną gromadą Żydów na ławach uniwersyteckich. Absurdalny jest i *numerus clausus*, bo odbiłyby tylko dzisiejszy absurdalny odsetek Żydów w Polsce. Zapewne, lepiej przejść od większego do mniejszego absurdu. Ale nie wolno zatracić poczucia, że to ciągle absurd. Oświadczenie ministra spraw wewnętrznych z trybuny sejmowej okazało takie niezrozumienie „powstańczej" natury ruchu (drugorzędna jest kwestja współudziału organizacyj), takie już oswojenie z tem, co anormalne, jakby przez usta jego mówiła doba, której zdrowy naród się nie śni.

UKRYWAJĄC ANORMALNOŚCI ZATAJAMY jedyne wyjaśnienie, które zagranicy może uprzytomnić dziwaczność stanu rzeczy na naszych uczelniach. Trudno nawet przedstawić, jak daleko sięgają różnice między akademikami żydowskimi, a polskimi. Polaka i Żyda dzieli przepaść głębsza nawet, niż Anglika i Hindusa. Zetknięcie się tych dwuch światów pod dachem jednej uczelni musi kryć w sobie niebezpieczeństwo wybuchu antypatyj. Z punktu widzenia organizacji państwa kolegowanie ras tak różnych nie ma sensu. Przyjęta dziś metoda polityczna usiłuje zgładzić

różnice zamykaniem na nie oczu. Frazes „państwowy“ zabił państwową myśl. Oczywistem postulatem ostatniej jest zorganizowanie innego zupełnie niż dzisiejszy „*modus vivendi*“ między żywiołem polskim, a żydowskim. Ale pod tym względem rządy sanacyjne okazały zupełny brak wyobraźni, całkowitą niezdolność do twórczych poczynań. Nie mogą za to żywić wdzięczności ci filosemici, którzy oczekują szybkiego zmniejszenia się liczby Żydów w Polsce, a w związku z tem — poprawy wzajemnych stosunków.

ZAJŚCIA NA WYDZIAŁACH MEDYCZNYCH uniwersytetów przypominają, jak niezwykłem są Żydzi wśród nas zjawiskiem; jak niezmiernie są obcy. Oto interwenjuje egzotyczna religja: zabrania dostarczania zwłok żydowskich na użytek studjów anatomicznych, a więc (logicznie sądząc) zabrania żydom po europejsku pojętej medycyny. Nie mogliby jej mieć we własnym kraju, w stuprocentowem żydowskiem państwie. Jeżeli tylko przesąd broni nam wydania Żydom do ćwiczeń zwłok chrześcijańskich, to przesąd ten jest z tych, które należy uszanować. Wyraża instynktowną, a głęboką awersję. Sytuacja osobliwa, ale wniosek jasny: przy obcym duchowi religji żydowskiej sposobie studjów, Żydom nic do medycyny. Z wydziałów medycznych na naszych uniwersytetach zniknąć powinni zupełnie.

NA POSIEDZENIU SEJMOWEM dn. 4 b. m., gdy poseł z Klubu Narodowego, pułkownik Arciszewski wskazał w przemówieniu swojem, iż niewłaściwą jest rzeczą, aby oficerowie z ministerstwa spraw wojskowych pobierali za swoją pracę w państwowym przemyśle wojennym tantjemy, wiceminister spraw wojskowych, jen. Sławoj-Składkowski zawołał z miejsca: „To nieprawda, nie otrzymują żadnych tantjem“. „Sprawozdanie Izby Kontroli mówi wyraźnie o rozdziale tantjem“, zauważył wówczas poseł prof. Rybarski, zaś poseł Arciszewski dodał: „Pan jenerał nie zgadza się z p. jenerałem Konarzewskim (drugi wiceminister spraw wojskowych, przyp.), który w zeszłym roku powiedział, że pobierają“...

Jednakże p. jen. Sławoj-Składkowski nie dał za wygraną i po przemówieniu pos. Arciszewskiego raz jeszcze oświadczył:

„Stwierdzam stanowczo, że żadnych tantjem z zakładów wojskowych żadni oficerowie nie otrzymują... Stwierdzam to stanowczo, pod słowem honoru dla dobra prawdy, że żaden z oficerów, których nazwiska odczytał pan pułkownik, tantjem nie otrzymał“.

Wysokiemu urzędnikowi, jenerałowi, przemawiającemu w dodatku oficjalnie z trybuny sejmowej, opinja publiczna powinna ufać nawet bez odwoływania się do „słowa honoru“... To też twierdzeniu wiceministra Składkowskiego wierzy społeczeństwo polskie tak samo właśnie, jak oświadczeniu, jakie w charakterze prezesa Rady ministrów złożył z tejże trybuny sejmowej obecny prezes klubu BB, pułkownik Walery Sławek, że w Brześciu „nie było sadyzmu“...

Podobnież podczas procesu brzeskiego, dnia 7 b. m., kiedy jeden z adwokatów obrony zauważył, iż „fakty przeczą“ niektórym szczegółom zeznań przesłuchiwanego właśnie w charakterze świadka, kierownika dwu brygad warszawskiego urzędu śledczego, p. Banko, ten ostatni odpowiedział:

— Protestuję przeciwko insynuacjom. Zeznaję pod przysięgą...

Jeżeli, jak wyjaśnił w tymże procesie p. wiceminister spraw wewnętrznych Stamirowski, stopień inteligencji urzędnika mierzy się jego stopniem służbowym, to uczciwość, prawdomówność, honor powinny być, — niezależnie od stopnia służbowego, — jednakowe. I „zeznaniu pod przysięgą“, złożonemu przez komisarza Banko, opinja publiczna zaufać powinna tak samo właśnie, jak oświadczeniu z trybuny sejmowej b. prezesa Rady Ministrów, pułkownika Walerego Sławka, że w Brześciu „nie było sadyzmu“...

INSTYTUT PROPAGANDY SZTUKI rozpisał konkurs na obraz z tematem sportowym. Gdy wieść gruchnęła, modele wzuły narty, napięły cięciwy łuków, ustawiły się z rakietami — zaś artyści sportretowali te manekiny. Wystawę otwarto w kamienicy Baryczków dn. 31 października. Obesłana licznie, pokazała, że nawet pod prowokacją konkursu sport nie wtargnął do sztuki polskiej. Pozostał czemś nieznanem, naogół nieprzeczuwanem. Żywo przypomina się „Laur Olimpijski“ Wierzyńskiego. Podobnie jak w tym zbiorku wierszy, tak na obrazach temat erotyczny brany jest często za sportowy. Inną pomyłką bywa zaliczenie kąpieli powietrznych do sportu.

Nie chcemy tu mówić o wartości malarskiej eksponatów — rozpatrujemy rzecz z innego punktu widzenia. Obraz Jadwigi Umińskiej (I nagroda) istotnie sportowo góruje nad innemi. Pięściarze jej walczą, gdy pięściarze Korolkiewicza (II nagroda) tylko zacisnęli piąstki. Niewątpliwie ma ducha sportowego obraz Byliny (gonitwa konna przez pole). Są to wyjątki. Dopiero wystawa unaoczniła, jak niesportowym jesteśmy dziś narodem. Naogół, nie marzą artyści o innem do tematu podejściu, jak zzewnątrz. Od zrozumienia ducha sportu, od pochwycenia w lot jego poezji — jakżeśmy jeszcze daleko!

A PROPOS „DUCHA SPORTOWEGO“. Czemu taki nam nieznany w dobie, gdy ministerstwa fundują nagrody za obrazy, rzeźby, utwory muzyczne, związane ze sportem? Czemu nie stał się hasłem zrozumiałem i w innych dziedzinach życia? Wolno mniemać, że niemałą rolę grają tu warunki polityczne, w jakich żyjemy. Cokolwiekby na ich dobro powiedzieć, duch czasu jest — niesportowy. Nie będzie się o to spierał z nami i najzagorzalszy zwolennik „sanacji“. Można (zagadkowo) utrzymywać, że postępowanie z więźniami w Brześciu było koniecznością państwową. Ale w żaden już sposób nie można twierdzić, że było sportowe. Można (przy odpowiednim guście) pochwalać zbirów za napad na Nowaczyńskiego. Całkiem niepodobna — za sportową postawę nad gliniankami. I t. d. Stosowanie sportowych kryterjów do polityki byłoby dziś kłopotliwe. Iluż graczy wypadłoby usunąć—za niesportowe zachowanie na boisku? Rozgrywamy więc *match*'e piłki nożnej—i coraz mniej sport rozumiemy.

NAUKA I LITERATURA

PISMA POŚMIERTNE MICIŃSKIEGO.

TADEUSZ MICIŃSKI należał do grona najwybitniejszych pisarzów okresu t. zw. „Młodej Polski“ *). Był to poeta—wizjoner, porywający apokaliptyczną furją swych widzeń i oszałamiający wschodnim przepychem fantazji. Marzyciel, ekstatyk i myśliciel — mistyk, w którego tworze głębia mistycznych zamyśleń kojarzyła się z zawrotnemi wzlotami wyobraźni, a wulkaniczne napięcie uczucia znajdowało odpowiedni wyraz w erupcyjnej sile natchnionego słowa oraz w oryginalnem pięknie formy. Twórczość Micińskiego była rzadkiem zjawiskiem, nie mieszczącem się w granicach swoich czasów, a jednak z ducha tych czasów poczętem i ducha tego w tragicznem odbiciu wyrażającem. Bowiem Miciński należał jeszcze do grona wielkich romantyków, w których procesie twórczym natchnienie, ekstaza, wewnętrzna atmosfera odgrywały tak ważną rolę. Był wielkim, prawdziwym poetą z łaski Bożej, choć nie był równie doskonałym artystą. Nie mając cierpliwości do jubilerskiej cyzelacji poetyckiego słowa, do misternego wygładzania szczegółów, nie dbał zbytnio o wykończenie, a gdy go w robocie coś nie zadowalało, wolał dany pomysł wogóle nanowo opracować, niż stracić rozpęd twórczy i rozpraszać się w marudzie drobiazgowych poprawek. Stąd obfitość obszernych warjantów przy utworach większych, stąd także wyższość formalna utworów drobniejszych, szczególnie lirycznych. Sporo takich artystycznych cacek zawiera zbiór kunsztownych liryk z rodzaju *„poèmes en prose“* p. t. „W mroku gwiazd“, których muzyczna eurytmja zdań przy niepospolitej sile ekspresji formalnej oraz przy zerwaniu z tradycyjnym szablonem poetyckiej formy — czyniła Micińskiego prekursorem ekspresjonizmu w Polsce. Niestety, nowocześni ekspresjoniści polscy w poszukiwaniu swego rodowodu woleli sięgnąć aż na drugi kraniec Europy, tem pominięciem bliższego sobie duchem i pochodzeniem poprzednika, stwierdzając jeszcze raz, jak bardzo niedocenionym względnie wręcz zapoznanym twórcą był autor „Nietoty“. Już za życia nie należał Miciński do pisarzy popularnych. I rzeczywiście popularnym być nie mógł — podobnie jak Norwid—z samej natury swojej twórczej psychiki. Brak wewnętrznej koncentracji przy niesłychanej wybujałości fantazji i bezmiernej, nad brzegami Wisły, Nilu czy Gangesu równie swobodnie czującej się erudycji, czynił go napozór niezrozumiałym, względnie b. trudnym do zrozumienia dla przeciętnego czytelnika, nie umiejącego poprzez barokową ornamentykę stylu dotrzeć do ukrytego jądra treści. Jednak są to tylko trudności pozorne, często bowiem niezrozumiałość danego autora odpowiada umysłowemu lenistwu czytelnika. Zresztą w bogatym dorobku Micińskiego, obok rzeczy „trudnych“, są również utwory dla każdego zrozumiałe, przemawiające bezpośrednio głębokością treści oraz pięknem swej formy, że wymienimy dla przykładu: gromową siłą słowa bijący „Szturm Pragi“, niektóre poematy prozą poetycką pisane (np. „Pieśń triumfującej miłości“ z „Nietoty“), wybór liryk, natchnioną prozę rozpraw „Do źródeł duszy polskiej“ i t. p.

Legendę o rzekomej „hieroglificzności“ Micińskiego obalić można jedynie przez umiejętne a rzetelne obcowanie z jego tworem, wynagradzając równocześnie niepospolitego pisarza za krzywdę dotychczasowego zapomnienia. Otóż pod tym względem pomyślano wreszcie choć o częściowem naprawieniu zła przez uprzystępnienie szerszemu ogółowi rękopiśmiennej spuścizny autora „Nietoty“, o której istnieniu i bogactwie krążyły od 10 lat różne fantastyczne wieści. Wkońcu wyjaśniło się, że po tragicznej śmierci Micińskiego, zamordowanego w r. 1918 przez bolszewików w drodze powrotnej do kraju, udało się rodzinie uratować zbiór rękopisów zmarłego pisarza i przewieść je do Warszawy, gdzie ich uporządkowaniem i przygotowaniem do druku zajął się znakomity krytyk A. Górski, przy pomocy młodych polonistów: Z. Grota, a następnie G. Latawca. O bogactwie tego zbioru manuskryptów, wobec którego parę wydanych za życia autora tomów jest zaledwie skromnym ułamkiem twórczości Micińskiego — niech świadczy fakt, że według obliczeń wydawców znajdujące się w ich rękach materjały mają wypełnić conajmniej 10 sporych tomów. Są tam utwory dramatyczne (m. in. tragedja rozbiorowa „Polskie Termopyle“, olbrzymie misterjum dramatyczne „W katordze Ornaku“ z obrazem przeżyć społeczeństwa polskiego w latach wielkiej wojny, tragedje osnute, na motywach marynistycznych o „Królu Helu“ i „Upadku Wenety“, udramatyzowana diatryba polemiczna przeciwko krytykom „U wrót Hadesu“ i in.), dalej powieści (m. in. dalszy ciąg „Nietoty“ i „Vity“, powieść z walk o wolność Słowian bałkańskich „Żywia Słoneczna“), wreszcie poematy prozą, drobne poezje, zbiór artykułów politycznych, artystycznych i polemicznych i t. p.

Staraniem Instytutu Literackiego w Warszawie przystąpiono wreszcie do wydawania „Pism pośmiertnych“ T. Micińskiego, pod redakcją A. Górskiego i Cz. Latawca. Świeżo ukazał się pierwszy tom tego wydawnictwa p. t. „Lucyfer“ (Warszawa 1931. Dom Książki Polskiej). Zawiera on pisany natchnioną prozą poetycką, olśniewający królewskim przepychem słowa poemat p. t. „Niedokonany“ o tym, który według słów poety: „obierając los obrał nadział bólu, aby go nikt nie przewyższył. — Król przeto imię jego — Pan Konających — Archanioł pychy — Zatraciciel — wszechświat zapomniał imienia jego, które jest: Niedokonany!..“ Stanowi ten poemat rodzaj ewangelji Szatana, w której postać Księcia Mroku urasta do rozmiarów tragicznego symbolu Zaprzeczenia, symbolu Cienia, załamującej się w momencie zwątpienia myśli Syna Bożego. Stąd temat główny: „kuszenie Chrystusa Pana na pustyni“: — „Nie mnie słuchałeś — Mroków Księcia! — ale tej pustyni, która utworzyła się po Twem niebie tak łatwo zniknionem. — Nie mnie słuchałeś, ale siebie samego—bo niema mnie, ale jesteś tylko Ty sam — niszczący siebie myślami — nauczyciel Królestwa niebiosów... modlisz się, raczej ja z Tobą wznoszę się w mej rozpacznej mocy aż do Twej wiary, że jest poza mną inny Ktoś — a nietylko Myśliciel — ja Mrok — po Trzykroć Rzeczywisty!“ Wogóle ujęcie problemu lucyferyzmu, tak ważnego dla twórczości Micińskiego występuje w tym poemacie z tragiczną siłą,

*) Tadeusz Miciński: „Lucyfer“ Warszawa 1931. Dom Książki Polskiej.

której godnych odpowiedników niewiele znajdziemy w literaturze całego świata.

O ten sam problem potrąca niedokończona powieść p. t. „Mane, Thekel, Upharsim". W bohaterze tej powieści, arystokracie — samotniku, marzycielu, zamkniętym w swem ukraińskiem nawpół zrujnowanem zamczysku, niby w wieży z kości słoniowej, artyście życia, zawarł autor pewne cechy własnej psychiki, własnych nastrojów i przemyśleń dla ich artystycznego przezwyciężenia. Powieść ta, pełna pięknych, poetyckich momentów, fantastycznych, barwnych obrazów i wizyjnych scen (osobliwa zabawa maskowa), ciekawych, charakterystycznych postaci oraz opisów przyrody ukraińskiej ujawnia wszystkie zasadnicze walory stylu Micińskiego (głównie plastyka wizyj, rozmach wyobraźni, czar poetyckiego słowa), składając się na całość o niezwykłej sile wyrazu i oryginalnem pięknie.

Mimo wszystko jednak, wybranie na pierwszy ogień tych właśnie utworów, wysoce wartościowych i zajmujących, ale stanowiących trochę za trudną lekturę dla przeciętnego, niespoufalonego jeszcze z tworem Micińskiego czytelnika, uważamy za pomysł niezupełnie szczęśliwy. Dla rozbudzenia głębszego zainteresowania wśród szerszych współczesnych czytelników, naogół słabo znających twórczość autora „Nietoty", należało na początek wybrać rzeczy „przystępniejsze", czyto przez posmak aktualności, jak np. „W katedrze Ornaku", czyto przez rodzaj tematu np. dramaty historyczne.

Wydany tom poprzedza napisany przez Cz. Latawca, a pomyślany jako wprowadzenie czytelników w atmosferę tworu Micińskiego wykład o istocie lucyferyzmu oraz o jego przejawach w twórczości autora „Nietoty" wogóle, a szczególnie w opublikowanych tu utworach. Niestety, pozwolimy sobie wątpić, aby ta rozprawa, dość obszerna, ale napisana zbyt chaotycznym, pretensjonalnym stylem, bez należytego zgłębienia problemu — mogła spełnić swe zadanie. Niezależnie jednak od tych zastrzeżeń uważany sam fakt podjęcia tego rodzaju wydawnictwa za pierwszorzędną zasługę kulturalną, a imprezę za godną ze wszechmiar jaknajszerszego poparcia.

RAJMUND BERGEL

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Niepostrzeżenie zjawiła się na stole nowości literackich i naukowych, przysłaniana już nowszemi książkami, przepiękna publikacja: „Zbiór polskich pieśni ludowych z Warmji". Zbiór ten jest dziełem Augustyna Steffena z Olsztyna. Poświęcił go w dedykacji matce swojej, a więc w uczuciu miłości rzeczy dokonał. Dwaj profesorowie (etnologji i językoznawstwa) Bystroń i Nitsch położyli na książce swoją aprobatę, dając do niej wstępne rozprawki. Książka wyszła nakładem Tow. pomocy dzieciom i młodzieży polskiej w Niemczech, (Poznań 1931, str. XVIII i 243).

Ten piękny tom, zawierający 200 pieśni — to skarb narodowy na naszej północnej rubieży, zabranej nam przez Niemców i za niemiecką podawanej; to wspaniały dokument plebiscytowy, świadczący, że żyje tam mowa polska i serce polskie.

Prof. Bystroń pisze z rozrzewnieniem; „Daleka Warmja, oddalona terytorjalnie, odzielona granicą polityczną, znajdująca się tak długo w zasięgu wpływów obcej kultury, staje się bliską, znaną, drogą... Z wruszeniem patrzymy na urny słowiańskie, czy na szyszak rycerski, wyorany w polu... a ileż silniejsze jest nasze uczucie, gdy mamy przed sobą materjał żywy i powszechny, gdy pieśń, niepozorna, prosta pieśń poprzez tyle klęsk i nieszczęść trwa, tętni życiem, wiąże ludność z macierzą, stwierdza jego polskość w każdym odruchu, w każdej serdecznej myśli, w każdem cieplejszem uczuciu".

Niema w tym zbiorze piosnki, którejbyśmy nie znali z Mazowsza rolnego, czy Podlasia, czy w Małopolsce.

Posłuchajmy dziwnej wymowy warmijskiej:

Stała nom sia nozina:
Pani pana zabziuła.
W łogródku rutki zasiała

Albo:

Tam w zielónam gajiku
Chodzi, chodzi śliczno Krakowjanka,
Zbzièro ksiotki do zionka
Król sia ło tam doziedzioł
Zaraz do ni list psisoł;
Pojmnij, pojmnij, śliczno krakowjanko
Pojmnij króla za majzal

(W.)

*

Bardzo miłą, świeżą w bezpośredniości swojej, książkę, jako przyczynek do życiorysu Chełmońskiego, wydała znana artystka-malarka pani Pia Górska. Są to rzeczowe, skromne w formie, ale pełne treści „wspomnienia" autorki o wielkim malarzu, który był przyjacielem jej rodziców i, jako sąsiad wiejski, częstym ich gościem. Nie siląc się na żadne psychologiczne lub artystyczne syntezy, owszem — świadomie ich unikając, pani Górska spisała wszystko, co Chełmońskiego dotyczyło, tak z obyczajów jego życia codziennego, jak z jego rozmów i własnych jego wspomnień, przez niego opowiadanych. Ten, tak trafny sposób ujęcia tematu, budzi w czytelniku pełne do książki zaufanie.

Jakkolwiek są to strzępy życia, ułożone, jak same w biegu czasu się układały, postać Chełmońskiego zarysowuje się w nich bardzo żywo, plastycznie i barwnie, a zarazem z nim i tło, na którem się w tych wspomnieniach poruszał, oraz towarzystwo kilku jego przyjaciół, jak Chmielowskiego, Kurzawy i Witkiewicza. Książkę zdobi pięć odbitek z rysunków Chełmońskiego, dwie jego fotografie, *facsimile* jego listu, oraz kilka listów jego do rodziców autorki i do niej pisanych. Jest rzeczą niewątpliwą, że książka pani Górskiej wejdzie, jako cenny nabytek, do materjałów nieistniejącego jeszcze, wyczerpującego życiorysu, na który dotychczas oczekuje wielki liryk krajobrazu polskiego. Jednak i sama w sobie praca pani Górskiej posiada wartość prawdy życiowej i prostoty, które tak trudno naogół zachować we wspomnieniach o człowieku niezwykłym i sławnym. (St. P.)

*

Po czteroletniej przerwie zaczęła znów wychodzić w Krakowie „Gazeta Literacka", tym razem w zmienionej szacie i pod zmienionem kierownictwem. Pierwszy numer dobrze się prezentuje. Spotykamy w nim nazwiska znane w literaturze; są to jednocześnie, o ile domyślać się można, nazwiska kierowników pisma. Jako redaktor (odpowiedzialny) wymieniony został z nazwiska tylko Józef Aleksander Gałuszka, który w numerze tym dał piękny wiersz o jesieni. Drugi wiersz „Powrót" wyszedł z pod pióra Marjana Czuchnowskiego; jest to fragment z większego poematu tego obiecującego pisarza. Współpracę swą w piśmie przyrzekł K. H. Rostworowski; narazie tylko z relacji M. Rusinka dowiadujemy się, jakie są twórcze plany autora „Niespodzianki". Ozdobą numeru jest opowiadanie Gustawa Morcinka „W hucie", stanowiące rozdział powieści „Wyrąbany chodnik", nagrodzonej niedawno na konkursie śląskim. Obfity jest dział recenzyj i wiadomości ze świata literackiego; aż dwa artykuły (Brauna i Czachowskiego) poświęcone są kryzysowi teatralnemu; na tenże temat zapowiedziany jest artykuł Rostworowskiego. Kwestjami zasadniczemi kultury polskiej i określeniem programu pisma — zajmują się, w tonie potrosze sarkastycznym T. Kudliński i A. Polewka, zaś redakcja od siebie taką daje zapowiedź: „Dążeniem naszem jest chęć skupienia rzetelnych wysiłków twórczych pisarzy i poetów, zamieszkałych w Krakowie i w okolicy do Krakowa ciążącej, do której należą również Śląsk i Podbale... Celem zaś naszym troska o myśl narodową i styl narodowy, o tężyznę Ducha polskiego i odporność przed obcemi temu duchowi wpływami. Oto nasz jedyny program, w którego ramach znajdzie się miejsce dla każdego rzetelnego wysiłku twórczego"... Celom takim można tylko przyklasnąć i życzyć jak najpomyślniejszego ich osiągnięcia. (J. B.)

OFENSYWA

JAK ZADUŻO, TO NIE ZDROWO

POD tytułem: „Hyperprodukcja inteligencji żydowskiej“ zamieścił sanacyjny „Czas“ krakowski, ale jeszcze z dnia 27 września, bardzo interesujące wywody b. wojewody poznańskiego p. Piotra Dunina-Borkowskiego, działacza sanacyjnego raczej spokojnego, mającego nie tak wiele wspólnych i psychologicznych i intelektualnych cech z temi rozmaitemi wyrostkami, burdemacherami, ordynusami, którzy ostatnio znaleźli wikt i opierunek w kompartji B. B. W. R.

Oto najważniejszych *passus* tych wywodów (podany w skrócie):

Jak wspomniałem, proces tworzenia się nadmiernych kadr inteligencji żydowskiej jest spowodowany u rodziców żydowskich chęcią wydobycia swego potomstwa z beznadziejnej niemal sytuacji, w jakiej znalazły się handel, rzemiosło, a często i przemysł żydowski — z przyczyny dojrzewania ludności chrześcijańskiej do tych zatrudnień, oraz z powodu wzrostu ruchu kooperatywnego. Podobny objaw mnożenia się inteligencji widzimy niejednokrotnie i u drobnorolniczej ludności chrześcijańskiej — na tle przeludnienia wsi. Należy się zastanowić, który z tych objawów nadprodukcji inteligencji posiada więcej danych, by mógł ułożyć się normalnie, a które kryje w sobie więcej niebezpieczeństw społecznych...

Problem hyperprodukcji inteligencji żydowskiej i stąd wynikającej nędzy coraz to szerszych kręgów bezrobotnych z tej inteligencji jest także raczej problemem społecznym, niż narodowym(?!) podobnie jak całość sprawy żydowskiej w Polsce(?!) co starałem się wyżej udowodnić(?!) Niewątpliwie jednak przyczyniło się silnie do zaostrzenia tego problemu żydowskie szkolnictwo średnie, które było narodowym postulatem żydowskim. Szkolnictwo to ułatwia naukę żydom. W szkolnictwie polskiem żydzi natrafiali na specjalnie trudności językowe i od pierwszej chwili uczęszczania do szkoły byli narażeni na nieprzychylne stanowisko reszty młodzieży, reagującej niemile na obcość elementu żydowskiego. Wszystko to umniejszało stosunkowo pęd do szkoły.

Oczywiście nie może to być argumentem przeciwko odrębnej szkole żydowskiej. Przeciwnie, dopiero co powiedziane właśnie wskazuje na pożyteczność tej szkoły, bodaj w obecnej fazie(?) z punktu widzenia zadań szkoły. Ale fakt hyperprodukcji inteligencji wskutek tego przybiera jeszcze większe rozmiary. Zagadnienie usunięcia objawów tej hyperprodukcji musi być ujęte łącznie w odniesieniu do całej inteligencji u nas — ze specjalnem jednak uwzględnieniem zaostrzenia, jakie już ta nadprodukcja wywołała i we wzrastającej mierze będzie wywoływała na odcinku żydowskim“.

Jak widzimy z tego, autor wywodów trafnie przewiduje, że ta nadprodukcja duże zaostrzenia już wywołała i nadal wywoływać musi, o ile już teraz nie podejmie się starań nad usunięciem tych objawów, i to na poważną skalę starań.

W obozie sanacyjnym są oczywiście socjologowie-„państwowcy“, którzy do problematu tego „podchodzą“ i zagadnienie chcą leczyć w sposób swoisty i tylokrotnie wypróbowany t.j. represjami i terrorem. Ponieważ „podejście“ do młodzieży narodowej jest im na długi okres czasu uniemożliwione, ponieważ wedle ich koncepcji świata tylko już żydzi „dysponują forsą“, przeto represje i terror mają być zwrócone li tylko przeciw młodzieży rdzennie polskiej, ośmielającej się protestować przeciw zastraszająco wzrastającej hyperprodukcji inteligencji semickiej. Zagadnienie to zatem może usunąć z powierzchni rzeczywistości jak zwykle najsprawniej: policja, hydranty, kordony, więzienia przy równoczesnem akompanjamencie wyzwisk i obelg, miotanych przez sejmowych katatoników i katylinarjuszów na obóz narodowy t. j. na rodziców i rodziny młodzieży kształcącej się w wyższych uczelniach. Niejeden BBWuer, czy Bebesyn jest najświęciej przekonany, że i tu da się konflikty uregulować batem, Batorowym, „nahajami“ pałkami,.. a może zgłodzić? nie dać węgla, światła, wody a może usunąć jeszcze[j]... uczniów usuniętych profesorów, Chrzanowskiego i Głąbińskiego? Tymczasem to się nie da i tak nie pójdzie. Młodzież z wyższych uczelni dąży i musi dążyć do tego, aby procent studjujących na wyższych uczelniach zbliżał się do procentu służących w wojsku (5%) a oddalał od procentu... dostawców dla... intendentury. Młodzież czytuje przecież i „Gazetę Polską“ i „Polskę Zbrojną“. Z tej ostatniej (Nr 176) mogła się tedy łatwo dowiedzić, że na ogólną liczbę ogłoszeń dostawców wojskowych, semickich jest przeszło 70%. Zestawiła to sobie widocznie z innemi cyframi, a więc z 5% służących w armji polskiej, a z przeszło 30% studjujących w szkołach wyższych. Coś tedy z tych cyfr przegląda niesprawiedliwego, niesłusznego czy też nienormalnego. W roku 1930 na 43.249 studjujących na uniwersytetach i politechnikach było 8.407 z tych, co tworzą tak wielki odsetek liwerantury i intendentury. Nacisk i napływ największe są na uniwersytety, a w nich na wydziały prawny i medyczny. Teologja... stosunkowo jeszcze się trzyma, rolnictwo już mniej, no a na prawie to już prawie maluczko a dojdziemy do 50%. To samo, tylko oczywiście nie w tej nadwyżce, dzieje się też na innych uniwersytetach „Wschodniej“ Europy: w Bukareszcie, w Budapeszcie, w Jassach, Brnie i t.p. W sądownictwie polskiem do ery sanacyjnej (do p. Bartla) aplikantów żydów był 8%, teraz pono 35,6%., to jest prawie tyle, ile w... prasie... sanacyjnej, w prasie dyktatury.

Autorem projektu ustawy o nowym ustroju adwokatury, ustawy kagańcowej, podporządkowującej adwokaturę sądownictwu, ustawy godnej czasów nie już Pobiedonoscewa, ale Arakczejewa i Nowosilcowa, jest p. Artur Miller, ożeniony z córką rabina Schorra, szwagier Uszera Kohna z Łodzi, (dawniejsze imię Aron, jak pisała prasa), w 25 roku sędzia okręgowy, w 29 roku życia sędzia apelacyjny!!

Autorem zaś projektu o wykreśleniu z Konstytucji ustępu o sądach przysięgłych jako „bzdurnej“ pozostałemi „sentymentalnej“ ery rewolucji francuskiej, „obcej polskiej tradycji“ (*sic*) jest p. E. Rapaport, sekretarz generalny Komisji Kodyfikacyjnej.

Oba projekty dowodzą stanowczo hyperprodukcji jurysprudencyjnej w kierunku carskiej i czarnosocińskiej reakcji na benefis dyktatury i kliki ochlokratycznej. Obaj autorzy są stwierdzeniem tezy p P. D. Borkowskiego o hyperprodukcji inteligencji żydowskiej u nas...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Hellenizm i judaizm: Dzieje walk o materjał ludzki do nauki anatomji sięgają w odległe czasy antyczne. Uczniowie Eskulapa, jeszcze w okresie Achajskim, walczyli o prawo robienia sekcji trupów. Między uczniami Hippokratesa, a słuchaczami pochodzenia fenickiego (którzy, jak wiadomo, pisali od prawej ręki ku lewej) wynikł spór o to, czy Fenicjanie mają prawo uczenia się na zwłokach greckich. Zatarg miał głębsze znaczenie humanistyczne, mianowicie przyświecała mu zasada filozoficzna Sokratesa: *„gnoti se auton“* (poznaj siebie samego). Semitom idea ta była zawsze obca, przeciwstawiali jej zasadę: „Poznaj tego, z którego żyjesz“, więc woleli krajać trupy greckie. Tutaj zaznaczyła się rozbieżność dwu typów cywilizacji: 1) autognotycznej (moralnej i twórczej) i 2) parazytycznej (pasożydnej).

*

Rocznicę odzyskania niepodległości wdzięczna Rzplita uczciła między innemi nadaniem pewnej ilości orderów i medali tym, którzy do odzyskania i utrwalenia niepodległości się przyczynili. Wiadomo, jak wielką pracę wykonała w tym czasie kierowniczka opinji, prasa. To też nie zapomniano i o publicystach: złotemi krzyżami zasługi odznaczeni zostali redaktor sjonistycznego „Naszego Przeglądu“ Natan Szwalbe, oraz współpracownik „czerwoniaka“ sanacyjnego, Bertold Merwin (B. Menkes). Ci dwaj. Krzyżami!

*

Z życia naukowego. P. Miedziński wykładać ma podobno w Szkole dziennikarskiej teorję państwa semi-narodowego. Część pierwsza: Neo-nacjonalizm postępowy, czem jest i czem będzie. Część II — Jak oprzeć wielkie państwo na małej mniejszości. Część III Wszech-Europa— Boy-Żeleński od nowego semestru zacznie wykład: Nowy kodeks prawa małżeńskiego ze stanowiska nauki o wolnej miłości. Flirt Temidy z Wenerą.

*

„...Pan poseł Nowodworski... swojem zachowaniem niedwuznacznie dawał do poznania, że w całej rozciągłości solidaryzuje się z łobuzerją studencką... Pan mecenas Nowodworski jest nietylko posłem z Klubu Narodowego... jest ponadto dziekanem Warszawskiej Rady Adwokackiej, której członkami, jeśli nie w większości, to przynajmniej w bardzo dużej ilości, są adwokaci — żydzi...“

Kto tak pisze? Syjonistyczny „Nasz Przegląd“? Nie, to wyjątek z oficjalnej „Gazety Polskiej“.

Niema co mówić: świetnie ich żydy wytresowały...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.